MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 11 a WARSZAWA 12 MARCA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

Ś. P. JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

ZE LWOWA nadeszła 5 marca żałobna wieść o śmierci Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Ciężka to strata dla narodu, który miał w Nim jednego z najszlachetniejszych przedstawicieli swej kultury. Wieść ta okrywa żałobą naukę polską, literaturę, szerokie sfery Polski oświeconej, a przedewszystkiem obóz narodowy, któremu służył pracą swoją, jako jeden z najwybitniejszych kierowników stronnictwa w Małopolsce. Tym, co najboleśniej cios ten odczuwają — Rodzinie Zmarłego — redakcja „Myśli Narodowej" składa w tem miejscu wyrazy głębokiego współczucia.

Opłakując z najbliższymi tę ciężką stratę, pociechy szukać możemy tylko w tem, że śp. Jan Gwalbert Pawlikowski pozostawia po sobie potomnym najpiękniejszą schedę, bo trwałe życie pośmiertne swego imienia. Imię to po wszystkie czasy związane będzie z pamięcią o Jego życiu górnem i twórczem u szczytów cywilizacji polskiej.

*

W najbliższym czasie podamy obszerniejszy życiorys Zmarłego. Obecnie notujemy główniejsze daty życia.

Śp. Jan Gwalbert Pawlikowski, syn Mieczysława powieściopisarza, uczestnika powstania — i Heleny z Dzieduszyckich, urodził się 18 marca 1860 r. w majątku rodzinnym w Medyce pod Przemyślem. W r 1818 ukończył gimnazjum św. Anny w Krakowie. Po ukończeniu wydziału prawnego doktoryzował się w Krakowie w r. 1885, poczem studiował rolnictwo w Halle i ekonomię w Wiedniu. W r. 1887 osiadł na roli w Medyce.

Od r. 1891 do r. 1904 wykładał ekonomikę rolniczą w Dublanach. W latach 1893—1897 redagował założone przez St. Szczepanowskiego czasopismo „Ekonomistę Polskiego".

Jednocześnie oddawał się gruntownym studiom nad literaturą, specjalnie nad twórczością Słowackiego. Owocem tej pracy było naukowe wydanie złożonego z ułamków „Króla Ducha" w 2 tomach (1.000 stron), z których jeden zajęły same komentarze. Dzieło to wyszło w r. 1925. „Myśl Narodowa" ogłosiła w 1930 studium, wydane potem w osobnej odbitce, p. t. „Społeczno-polityczne idee Słowackiego w dobie mistycyzmu".

Oceniając tę pracę, Akademia Umiejętności w Krakowie mianowała go swym członkiem.

Zawołany taternik odkrył w górach wielki zakres działania naukowego i obywatelskiego, jako wydawca „Wierchów", rocznika poświęconego Tatrom i jako inicjator akcji w sprawie ochrony przyrody.

W nr. 7 „Myśli Narodowej" (Na widowni) z r. b. pisaliśmy o niezwykle pięknem dziele Pawlikowskiego z tej dziedziny p. t. „O lice ziemi".

O życiu i pracach sp. Pawlikowskiego pisał Z. Wasilewski przed laty w „Myśli Narodowej". Studium to znajduje się w książce jego p.t. „Pieśń w górach" (Warszawa 1930).

Poza pracą naukowo-literacką Pawlikowski wiele sił poświęcał działalności na polu kultury i na polu politycznem. Od r. 1863 do wojny był prezesem stronnictwa Dem.-narodowego w Galicji (z siedzibą we Lwowie). Był też czynnym członkiem Ligi Narodowej. W latach 1901 — 1914 był prezesem Związku Naukowo-Literackiego we Lwowie, oraz przez kilka lat Szkoły nauk politycznych. Wszystkie te prace łączył umiejętnie z rolą swoją gospodarza na Medyce. Przed kilkunastu laty oddał to zadanie synom Michałowi i Janowi, sam zaś, — pomimo osłabionego wzroku i lat podeszłych, stale pracował nad literaturą, mieszkając we Lwowie lub w swojej wilii zakopiańskiej. Ostatnią pracą Pawlikowskiego, której nie dokończył, było studium o poetach tatrzańskich. z. w.

ETATYZM W HISTORII
I SKLEROZA BIUROKRATYCZNA

W tych dniach ukazała się książka prof. Romana Rybarskiego p. t. „Idee przewodnie gospodarstwa Polski“, z której przytaczamy poniższy ustęp:

NOWE systemy gospodarcze nie zakończyły jeszcze swego doświadczenia. Pozostają w stanie przeobrażeń; zasady, które się dziś urzeczywistnia, mogą jutro ulec zmianie. Na przebieg ewolucji społeczno-gospodarczej mają wpływ i uboczne okoliczności, jak np. koniunktura wojenna. Trudno dziś sporządzić bilans zamknięcia. Nacjonalizm może znaleźć inne jeszcze formy, niekoniecznie musi się wyrażać w totalizmie gospodarczym. A gospodarcze jego niepowodzenia w tym lub innym kraju nie podważają jeszcze siły idei narodowej.

Obecnie wiele krajów hołduje etatyzmowi w szerokiem wyrazu znaczeniu. Używamy tu wyrazu etatyzm, by nim oznaczyć fakt przewagi państwa nad wolnem gospodarstwem, który to fakt może przybierać różne nazwy: korporacjonizmu, gospodarstwa kontrolowanego, socjalizmu czy kapitalizmu państwowego. Ten „etatyzm” nie jest nowem zjawiskiem. Przedsiębiorczość państwowa, ta lub inna postać kontroli władzy nad gospodarstwem, występowała bardzo często w dziejach. I nasuwa się pytanie: czy mimo ogromnych różnic ustrojów gospodarczych, mimo tego, że dawniejsze wieki nie znały „kapitalizmu” w dzisiejszej jego postaci, nie możemy wciągnąć w rachubę skutków, które wywołały te dawniejsze „etatyzmy” w całem życiu społeczeństw?

W krajach starych cywilizacji natrafiamy na różne ich dzieła, które i dzisiaj budzą nasz podziw. Widzimy piramidy egipskie, Akropolis, rzymskie drogi i mosty, colisea i wodociągi; podziwiamy Wersal i inne pałace. Budowali je faraonowie, przywódcy demokracji ateńskiej, rzymscy imperatorowie i królowie francuscy. Słowem budowało je państwo, stosując nieraz p r z y m u s bardzo bezwzględny. Mógłby ktoś w tych dziełach dopatrywać się triumfów etatyzmu, wskazać na to, że inicjatywa prywatna, obliczona na zysk nie zostawiła po sobie nic takiego, co może trwać przez tysiąclecia.

Do zachwytu estetycznego, po bliższej rozwadze, dołączy się jednak refleksja, że te budowle bardzo wiele kosztowały, że ci władcy, którzy je wznosili, zbyt silnie obciążali społeczeństwo. Ponoszono na nie wiele ofiar, nawet i w życiu ludzkim, poświęcono wiele bogactwa. Ale nie faraonowie i nie królowie wytwarzali te bogactwa. Rozkwit państwowego budownictwa niejednokrotnie następował wtedy, gdy już społeczeństwo nagromadziło duże zasoby, gdy panujący miał kogo obciążać daninami. I nieraz tej wspaniałości akcji „inwestycyjnej” (jeżeli można użyć tego wyrażenia) odpowiadał bezwzględny ucisk fiskalny i rozwielmożnienie się biurokracji.

Nie szukając zbyt dalekich przykładów, zatrzymajmy naszą uwagę na starożytnej Grecji. Niedawno jeden z polskich autorów, Stanisław Łoś, zajął się zobrazowaniem ewolucji gospodarstwa i państwa w Grecji, wypowiadając na podstawie swych rozważań wiele aktualnych wniosków [1]).

Stwierdza ten autor, że w starożytnej Grecji posunął się bardzo daleko proces biurokratyzacji i mechanizacji społeczeństwa, który jego zdaniem dokonywa się dzisiaj i we współczesnej Europie. Przejawy tego procesu są następujące:

„1. Zanik starego, organicznie wraz ze społeczeństwem wyrosłego, obyczaju, a zastąpienie go przez t. zw. prawo, t. j. przez pewien tekst, w pewien formalny sposób ogłoszony i jako norma obowiązująca podany.

2. Zanik przewagi czynnika jakościowego na rzecz czynnika ilościowego.

3. Przejście władzy z rąk warstw produkujących w ręce warstw konsumujących.

4. Zmiana w pojęciu roli państwa, które przestaje być związkiem celowym, służącym do utrzymania ładu wewnątrz społeczności, a staje się czynnikiem nadrzędnym w stosunku do społeczeństwa.

5. Zanik wszelkich form organizacyjnych pośrednich pomiędzy obywatelem a państwem.

6. Narzucenie z góry społecznościom pewnych gotowych form ustrojowych, zamiast powolnego organicznego wytwarzania ich przez społeczność.

7. Daleko posunięte zróżnicowanie między poszczególnemi grupami społeczności w dziedzinie ich uprawnień nie pod kątem widzenia ich funkcji społecznej, lecz wedle ściśle zewnętrznych, czysto formalnych cech.

8. Narzucanie państwu monopolistycznej roli pracodawcy i żywiciela coraz to liczniejszej rzeszy obywateli.

9. Coraz bardziej zmniejszająca się troska o wytwarzanie społecznego majątku, coraz większy nacisk na podział już nie społecznego dochodu, ale społecznego kapitału.

10. Wyniesienie inteligentnego proletariatu do rzędu warstwy rządzącej”.

By nie zniekształcić biegu myśli autora, przytaczamy w całości jego konkluzje, podkreślając od siebie ustępy, które dotyczą bezpośrednio interesującego nas zagadnienia. I nie przesądzając pytania, jaki jest stopień aktualności przykładu starożytnej Grecji, należy stwierdzić bezsporny fakt, że po dobie silnego rozkwitu, który np. wyraził się w ogromnej aktywności państwa, jak np. w Atenach za Peryklesa, przyszedł bardzo rychło zastój i upadek. Zarówno demokracje, tyranie, jak i ustroje, rządzone przez grupy wojskowe, doszły do wielkiego rozrostu swych funkcji; grupa rządząca coraz mocniej ciążyła na gospodarstwie. Przybywało wciąż ludzi, którzy utrzymują się z państwa, przybywało, jakbyśmy dziś powiedzieli, biurokracji.

---

[1]) Hellada na przełomie, 1938 s. 143 i n.

Czynnik sprawujący władzę żyje bezpośrednio z państwa. By się przy tej władzy utrzymać, by wykarmić swoich klientów, albo też budować wspaniałe pałace i świątynie, nakłada olbrzymie ciężary na tych, którzy zarobkują, którzy coś posiadają. Podatki stają się coraz cięższe; już nie poprzestaje się na stałych podatkach, stosujących ogóle normy obciążenia, lecz wprowadza się tak zw. lejturgie, czyli indywidualnie nakładane ciężary budowy świątyń, okrętów i t. d. Zaciera się różnica między podatkiem a konfiskatą majątku.

Fiskalizm jest nieodłącznym towarzyszem etatyzmu. Im dalej sięga etatyzm, tem mocniej fiskalizm daje się we znaki. Nadchodzi zanik przedsiębiorczości i energii gospodarczej. Ucieka kapitał lub zostaje zniszczony przez demagogiczne demokracje i dyktatury. Ludność przestaje się mnożyć i dosyć rychło Grecja staje się przedmiotem łatwego podboju.

Rzym, który zajął Grecję, przechodzi podobne koleje. Nad przyczynami upadku starożytnego Rzymu zastanawiało się bardzo wielu autorów. Sformułowano różne teorie, ale wszyscy stwierdzają fakt, że w późnem imperium rzymskiem nastąpił ogromny wzrost funkcyj państwa; wzrost wydatków, ilości osób, utrzymywanych przez państwo. Niektórzy autorzy widzą wprost przyczynę upadku w powiększającym się etatyzmie, który podciął siły żywotne dawnego Rzymu.

Przytoczmy tu poglądy niemieckiego historyka gospodarczego, Bernarda Lauma [2]), który nie żywi bynajmniej ubocznych „liberalnych” tendencyj i nie szuka w przeszłości argumentów dla aktualnych wniosków.

Według niego upadku Rzymu nie można sprowadzać do jednej przyczyny. Ale na pierwszy plan wysuwa fakt centralizacji państwa rzymskiego w związku z czem cały zarząd państwa przechodzi w ręce państwowych urzędników. „Zurzędniczenie zarządu państwowego prowadzi z konieczności do biurokracji. Zbiurokratyzowanie organizmu państwowego przybrało nadzwyczajne rozmiary w czasie upadającego państwa rzymskiego. Im bliżej końca, tym bardziej ono się rozszerza i zaostrza. Biurokracja opanowuje i przenika całe życie”. Proces ten przyśpieszyły jeszcze dwie okoliczności: wpływ Wschodu, gdzie biurokracja zawsze dużo znaczyła, i postępujące naprzód zubożenie ludności, które wymagało interwencji władzy.

Ucisk fiskalny był związany z rozwojem zbytku. Zbytek publiczny, wyładowujący się w igrzyskach ludowych i budowlach, był naśladowany przez miasta i jednostki prywatne. „Wysokie wydatki, które robiono (szczególnie w miastach) na te cele, doprowadziły do zupełnego zubożenia”. Deficyt gospodarki państwowej wywołał zepsucie pieniądza. By wydobyć potrzebne dochody ze społeczeństwa, trzeba było ograniczyć wolność jednostki. „Przywiązano poddanego do jego funkcji gospodarczej. Nikt bez zgody władzy nie może opuszczać miejsca, gdzie jest osiadły, ani zmieniać wykonywanego zawodu. Ucieczka z siedziby gospodarstwa rolnego i warsztatu, by uniknąć nieznośnego ciężaru podatkowego, jest powszechnem zjawiskiem w tym czasie”.

Wprowadza się w przemyśle i rolnictwie solidarną odpowiedzialność za podatki. Właściciel ziemski odpowiada za użytkowców jego ziemi. Po miastach powstają z tego ucisku podatkowego przymusowe cechy; państwo tworzy „korporacje”, by zabezpieczyć sobie wpływy podatkowe; z tego wyradza się dalej przymusowa dziedziczność rzemiosła. „Tak więc wszędzie poddana jest indywidualna wolność interesowi państwa. Wszechwładne państwo opanowuje bez reszty prywatne gospodarstwo”. Bezpośrednim tego wyrazem są taksy cen, z których najsławniejsze zawarte zostały w dekrecie Dioklecjana z r. 301. Ale te zabiegi, jakkolwiek bardzo krępowały gospodarstwo, nie zdołały uratować skarbu państwa, ani też nie odwróciły upadku imperium.

Gdy się czyta o tych masach obywateli, których utrzymywało państwo, o różnych „zasłużonych”, którzy kazali sobie dobrze płacić, o weteranach, otrzymujących pensje, o przymusowych korporacjach i cenach maksymalnych, nasuwają się duże analogie z teraźniejszością. Np. przy zestawieniu ilości osób, które nasze państwo utrzymuje, przychodzą uparcie na myśl słowa pisarza kościelnego Lactantiusa, który mówił o tem późnem imperium rzymskiem: *plus accipientium quam dantium* (więcej takich, którzy biorą ze skarbu państwa, niż takich, którzy płacą skarbowi).

Nie chcemy ulegać sugestiom i na podstawie faktów z dalekiej starożytności wypowiadać zbyt skwapliwego sądu o konsekwencjach obecnego wzrostu funkcji gospodarczych państwa. Ale nie możemy zapominać o tem, że już nieraz w dziejach rozkwit etatyzmu (w najogólniejszym tego wyrazu znaczeniu) poprzedzał upadek gospodarczy, za którym szedł i upadek polityczny. Grecja została zdobyta przez Rzym, a Rzym przez barbarzyńców z północy.

Nie zawsze jednak upadały rychło państwa, których gospodarstwo było kierowane przez władzę państwową, gdzie w wysokim stopniu upowszechnił się etatyzm. Starożytny Egipt był państwem, bardziej od wielu innych trwałem, a tam upaństwowienie gospodarstwa poszło bardzo daleko. Podobnie przez długie wieki utrzymywało się „komunistyczne”, a w każdym razie nieznające prywatnej własności państwo Inkasów w Peru. Czyż więc te przykłady nie dowodzą żywotności tego typu ustrojów społecznych?

Trwałość względnie upadek państw zależy od wielu okoliczności, także i zewnętrznych. Jeżeli te zewnętrzne okoliczności sprzyjają, państwo może trwać, choć jego odporność się zmniejszyła. Państwo Inkasów upadło odrazu, gdy zginął wielki Inka, nie stawiało Hiszpanom najmniejszego oporu, bo śmierć tego, kto skupiał w sobie całą wolę państwową, odrazu sparaliżowała wszelką chęć walki. Ale nie zapuszczając się daleko w przyczyny upadku, możemy stwierdzić, że upaństwowiona gospodarka już od wieków w tych państwach (obok nich można jeszcze postawić Bizancjum) zatraciła zdolność rozwoju.

Do daleko posuniętego etatyzmu, czy wprost do upaństwowienia gospodarstwa, może dojść na różnej drodze, ewolucyjnej czy rewolucyjnej. Gdy zwycięży ten system gospodarczy, wprowadza oczywiście wielkie zmiany w gospodarstwie; objawia np. swą inicjatywę w różnych robotach pu-

---

[2]) Bernard Laum, *„Algemeine Geschichte der Wirtschaft“*, 1932, s. 74 i n.

blicznych, we wspaniałym budownictwie. Ale po pewnym czasie przychodzi zastój. Gospodarstwo z dynamicznego przeistacza się na statyczne. Kierownictwo gospodarstwem skupia się w rękach wszechwładnej biurokracji, która swemi drobiazgowemi przepisami reguluje całe życie, które niechętnie odnosi się do nowych metod gospodarczych, która przeszkadza temu, by wyrosły jakieś samodzielne siły społeczne.

Gospodarstwo podlega zastojowi. Można urzeczywistniać gospodarkę planową, którą znały dobrze dawne wieki, bo proces gospodarczy wciąż się odnawia na tych samych zasadach, bo niema żadnych zaburzeń. I to właśnie nazywamy sklerozą biurokratyczną. Historia społeczna i gospodarcza dostarcza nam wielu jej przykładów, nawet i z czasów bardzo odległych i bardzo rozmaitych cywilizacyj.

ROMAN RYBARSKI

Z BIEGIEM LAT

(WSPOMNIENIA O ROMANIE DMOWSKIM)

IV

PRZEZ parę pierwszych lat od założenia Obozu Wielkiej Polski, Dmowski był bardzo zajęty jego sprawami: organizacją, zebraniami wykładowemi, nauczaniem młodszych żywiołów, przeważnie w skład jego wchodzących, doborem sfer kierowniczych, etc, nie mówiąc już o tem, iż jednocześnie oddany był jeszcze wytężonej pracy publicystycznej.

Odbijało się to wszystko nieraz niekorzystnie na stanie jego zdrowia. Broniąc się przed skutkami przemęczenia, miesiące letnie spędzał w Chludowie, czasem jednak szukał rozrywki poza stałem otoczeniem — wśród swoich stosunków wiejskich. Lubił ludzi z chat i dworów, na chłopie zwłaszcza budował przyszłość Polski, jako należącym do warstwy narodu najgłębiej wrosłej w ziemię i najzdrowszej. Niejednokrotnie towarzyszyłem mu w jego wycieczkach. Jak tylko znalazł się w wagonie, ruszając na wieś, od razu stawał się weselszym niż zwykle, łatwiejszym w stosunkach i skłonnym do zawierania nowych znajomości. Spotkaliśmy kiedyś w drodze mego znajomego ziemianina z Kujaw, szlachcica nie bez dobrego mniemania o sobie; Roman mu się przedstawił, bawił go rozmową przez całą drogę, a gdy wszyscy trzej wysiadaliśmy na tej samej stacji, ponieważ trudno było o tragarza, porwał nagle jego ciężką walizkę i wyniósł ją z wagonu. Zdumienie i podziw zarazem odmalowały się na obliczu naszego towarzysza podróży, tem większe, ile że coś podobnego spotkało go od Dmowskiego. Najpewniej nie zdawał sobie sprawy, że ze strony Romana był to jak najnaturalniejszy odruch człowieka lubiącego komuś pomóc w potrzebie. Odznaczał się zawsze swobodą obejścia, zwiększała się ona na wsi, nawet wówczas, gdy po raz pierwszy u kogoś bawił.

W końcu czerwca 1931 roku wybraliśmy się do pp. sen. K. Gruetzmacherów (do Czołówka na Kujawach), z którymi od dawna byłem zaprzyjaźniony, Roman wszakże nie znał jeszcze pani domu. Gdy usłyszał od niej powitalne wyrazy radości z powodu jego przybycia, uśmiechając się natychmiast odpowiedział: „uwierzę w tę radość, jeżeli państwo po moim wyjeździe nie powiedzą — dzięki Bogu, że ten stary mantyka już sobie wyjechał..." Wstęp tego rodzaju w jednej chwili obalił wszelkie przegrody, jakie mogły oddzielać niezwykłego gościa od witających go u siebie po raz pierwszy państwa domu, wprowadzając atmosferę nieskrępowanej przedwstępnym ceremoniałem zażyłości. Na zebraniach, urządzanych na jego cześć, odpowiadając na przemówienia, wprowadzał wesołą nutę, żeby wszystkim się zdawało, że wszyscy są tu tak dobrzy jak on, i niema powodu do brania zbyt wysokiego tonu. Chętnie odwiedzał gospodarzy wiejskich, sąsiadów Czołówka, i dziś jeszcze wspominają go tam młode gosposie jak to mówił do nich: „przyszła Polska, o którą pytacie, będzie taka jak wychowacie wasze dzieci".

Z tej pierwszej wycieczki na Kujawy, których nie znał, wyniósł Roman chęć powrotu do nich (tak mu się podobał kraj i ludzie poznani), a także niezatarte wspomnienie ze spaceru statkiem po Gople, urządzonym nam uprzejmie przez pp. Krzymuskich z Kruszwicy. Tego rodzaju wędrowiec jak Roman, co objechał świat cały i poznał najcudniejsze jego miejscowości, słynące z piękna krajobrazu, zachwycony był Gopłem, płynął jego białemi wodami w słoneczny dzień lipcowy w jakiemś nieopisanem rozradowaniu, tak był wzruszony, że po raz pierwszy w życiu, na schyłku już lat swoich, znalazł się w miejscu, owianem poezją legend, mówiących o zaczątkach państwa polskiego, u kolebki jego dziejów.

Spędziwszy potem lato 1931 r. w Chludowie, gdy na jesień powrócił do Warszawy, zaczął poważniej niedomagać, przebył bronchit, który się przewlekał, i w ogóle czuł się nie osobliwie. Lekarze uznali, iż powinien szukać poprawy zdrowia w cieplejszym klimacie, w tym celu więc w końcu roku wyjechał do Algieru. Wyjeżdżając prosił, by pisywać do niego. W parę tygodni po wyjeździe napisałem i do listu dołączyłem pocztówkę z motywem parku słynnej Zofiówki pod Humaniem, której nie znał, z tem żeby zgadywał — co to za miejscowość? Pierwszego lutego 1932 roku otrzymałem odpowiedź: „Każesz zgadywać— pisał między innemi — skąd twoja karta? jako przyrodnik, z charakteru roślinności przypuszczam, że to Zofijówka". Któżby się nie zdziwił tak trafnej odpowiedzi, tem bardziej, że na karcie nie było żadnego napisu, najmniejszej wskazówki. W następnym liście, wyrażając mu swoje zdziwienie z tego powodu, określiłem jego „intuicję", jaką okazał w tej sprawie, jako czynność umysłową, w której podstawie leżą: naprzód duża wiedza, następnie słuszne rozumowanie, a w końcu stanowcze przeświadczenie (akt woli), iż tak jest jak on sobie rzecz przedstawia — nie zaś inaczej.

Na to, w odpowiedzi z 16 lutego 1932 roku pisał: „Dziękuję ci za list, a nadewszystko za uczciwe słowo o moim „intuitywizmie". Irytuje mię, gdy ludzie zamiast przyznać, że ja sporo

wiem i nie boję się myśleć, częstują mnie jakąś b..ską intuicją...". Gniewało go zawsze, gdy ktoś w myślenie ludzkie wprowadzał czynnik bezwiedności; teorie Bergsona, które jakiś czas, po ukazaniu się jego „*Evolution Créatrice*" — były u nas w modzie, często w rozmowach z przyjaciółmi krytykował (może i dla tego, że nie znosił wszelkich objawów snobizmu, a to nagłe zaprzątnięcie się Bergsonem miało dużo z tem wspólnego) — swój umysł uważał za typowo dyskursywny, nie zaś intuicyjny, i czuł się bliższym Arystotelesa niż Platona. Miał w tem dużo słuszności, odznaczał się bowiem rzetelnością myślenia, w rozumowaniu opierał się na ogromnej wiedzy i doświadczeniu, nie doceniał jednak w sobie innych czynników umysłowych, innych „natchnień", które w wielu wypadkach, rzucały się nam w oczy. Miewał nagłe „fulguracje" myślowe, rozmaite uniesienia, czy „rozpędy życiowe" („*élans vitaux*" Bergsona), które tłumaczył uprzednią długą pracą myśli, co jednak sięgały głębiej, i w jego podświadomości miały swoje źródło. Ja mu to nazwałem „stanowczem przeświadczeniem", „niezachwianym aktem woli" — na co się zgodził, a to było właśnie nie uznawaną przez niego, pewną postacią intuicji.

Z takich i t. p. względów zawiązała się między nami częstsza korespondencja, w czasie jego pobytu w Algierze. W jednym z listów opisywałem uroczystość pogrzebową wspólnego przyjaciela, senatora Michała Bojanowskiego, którego Roman serdecznie kochał, — przytem zastanawiałem się — na kogo z nas teraz przyjdzie kolej? Na to odpisywał: „Nigdy, mój drogi, nie trzeba zadawać pytania: na kogo z nas kolej? Trzeba to pozostawić Panu Bogu — niech sobie wybiera. Ja mam przekonanie, że teraz będzie dłuższa przerwa. Pozostały same typy, co całe życie niedomagały, jak ja, Ty, Zygmunt (Wasilewski, p. mój), a stare przysłowie mówi, że „skrzypiące drzewo najdłużej stoi". Przysłowia są mądrością narodów i trzeba im ufać..." Po tych pół-żartobliwych uwagach, wspominał zmarłego: „Szkoda zacnego Michała, jaki to był prawy człowiek, i jaki mocny Polak. Chciałem to ludziom jak najżywiej uprzytomnić i dla tego napisałem swoje wspomnienie tak nie nekrologowo". Kończąc list prosił, żeby nie zwlekać z pisaniem do niego, „bo starzy — to co innego", a była to aluzja do naszych rozważań na temat różnic pomiędzy nami, starymi, i bliskimi nam przedstawicielami młodszego pokolenia.

W jednym z listów, pisanych pod koniec swego pobytu w Algierze (dn. 11 kwietnia 1932 r.) powiadał, iż czuje się jeszcze młodym, gdyż od paru tygodni pisze z nadzwyczajnym zapałem nową książkę, do której przywiązuje dużą wagę. Projektował dla niej tytuł: „Chora cywilizacja", chociaż miał się jeszcze nad tem zastanowić. „Ty, stary przyjacielu — pisał — z którym tyleśmy soli razem najedli i tyle przekomarzali, nie odmówisz jednej mojej prośbie, choć jest wielka". Następowały potem wyrazy nader pochlebne dla mnie, które pomijam z wyjątkiem jednego, gdyż jest mi najmilszy, mianowicie, że nie mówię mu „komplementów", stąd więc ta „wielka prośba", żeby, jak powróci, przyjechać do Chludowa i przeczytać razem z nim ową książkę. „Odważyłem się na nią — pisał dalej — bo już niema czasu czekać. I świat niechce czekać, jeno się rozsypuje, i ja nie mogę czekać, bo nie wiele mi życia pozostaje, a przynajmniej życia twórczego. Bo jestem przekonany, że w tej książce jest myśl twórcza..."

Zdziwił mnie uroczysty ton listu oraz podniecenie uczuć i myśli Romana, złożyłem to jednak na karb znacznego przypływu świeżych sił w słońcu i cieple Afryki, a także przejęcia się tematem książki, o którym nam nie raz wspominał. Odpisałem, że jak najchętniej przyjadę do Chludowa kiedy będzie chciał, nie poczuwając się jednak do przypisywanych mi kwalifikacyj oceniania wartości tego, co napisał — zwróciłem mu uwagę, iż do tego byliby bardziej powołani inni, których wiedzę i kulturę umysłową sam zawsze wysoko stawiał. (Wymieniłem między innemi prof. K. Tymienieckiego, Z. Wasilewskiego i in.).

Gdy po powrocie z Algieru długo się do mnie nie odzywał, zapytałem go w liście: kiedy mam przybyć do Chludowa? pora już bowiem spróbować tego starego burgunda, jaki miałem przyobiecany za wspólne odczytywanie rękopisu...

Na to otrzymałem następującą odpowiedź: „Ty mi nie wymawiaj, żem cię miał ściągnąć do Chludowa w maju (list z 16 sierpnia 1932 r.) i dotychczas tego nie uczyniłem. Miałeś być pożyteczny i przeczytać ze mną moją książką, a jak książka nie gotowa, to co?... Zwykle piszę o tem. co dobrze rozumiem, a teraz się okazało, że z tem rozumieniem na różnych punktach jest słabo. Męczę sobie tedy mózgownicę, żeby się w niej zrobiło całkiem jasno, bo inaczej jakże mam jasno pisać...?"

Wyznanie powyższe dało mi wiele do myślenia, widoczne bowiem dla mnie było, że tu, poza właściwą mu rzetelnością umysłową, która nie pozwalała mu pisać o tem z czego nie zdawał sobie jasno sprawy, coś innego powstrzymało go od pisania. Obawiałem się, że do skrupułów myśliciela — przyszło jeszcze, gdy zabrakło słońca afrykańskiego i zaczął pracować w innych warunkach, nagłe obniżenie wysokiej skali życia umysłowego, a wskutek tego rozpęd pisarski został powstrzymany i pisarz utknął w jakimś impasie, z którego jeszcze nie znalazł zadawalającego wyjścia. Niestety, i następne próby zawiodły, znowu bowiem przez parę lat zajęty był sprawami organizacyjnemi stronnictwa, siły rozpraszały się, nie mógł pracować w takiem skupieniu myśli, jak podczas wywczasów algierskich. Niejednokrotnie powracał do przerwanej pracy nad książką, często z nami o niej rozprawiał, odczytywał niektóre jej fragmenty, ale tylko one pozostały po nim, gdyż czas i okoliczności nie pozwoliły mu już na złożenie tej „zwartej" całości, o jakiej mi wspominał w listach, i jak ją sobie wyobrażał. (W dziele zamierzonem pragnął Dmowski, między innemi, przedstawić rodowód wybujałego indywidualizmu w kierunkach myśli cywilizacji nowożytnej).

W lipcu 1933 roku pisał mi z Chludowa, że w Poznaniu prześwietlano mu serce i aortę, oraz wymierzano prąd elektryczny, wytwarzany przez serce; nadmienił przy tem, iż przestał palić.

Wszystko to wpradzie było wynikiem troskliwości przyjaciół - lekarzy o jego zdrowie, nie bardzo mi się jednak podobało. Ponieważ jednak list był pisany z dowcipnym humorem, do niepokoju nie widziałem powodu. Dopiero prawie we dwa lata potem zaszedł fakt, mogący zaniepokoić

przyjaciół. W połowie maja 1935 roku, zapragnął Roman użyć wczesnej wiosny na wsi, i w tym celu wyjechał na Kujawy, do Czołówka. Tam tak się wiosną rozkoszował, że w ładny lecz ostry dzień, wylegując się na leżaku w ogrodzie — zasnął. Następstwa były opłakane: już wieczorem dostał silnych dreszczów z 39 stopniami gorączki. Po paru tygodniach starannego pielęgnowania, powrócił do Warszawy z oznakami zmęczenia po przebytej chorobie. Odtąd zwiększały się jego fizyczne dolegliwości, zwłaszcza bronchity często się powtarzały. Miewał wszakże okresy, w których czuł się dobrze, a rześkość umysłowa wcale go nie opuszczała. Kilka tygodni, w lecie 1936 roku, spędziliśmy razem pod Kaliszem, w Tłokini, w domu przyjaciół naszych, pp. Chrystowskich.

W znacznie młodszem od nas otoczeniu czuł się wybornie, baraszkował z młodzieżą, starszym chętnie opowiadał, bogate w ciekawe zdarzenią, dzieje swego życia — ale ani się rwał do pisania, co lubił robić na wsi, ani do dalszych spacerów, których był wielkim miłośnikiem; wolał godzinami całemi przesiadywać w cieniu drzew.

Jakkolwiek bądź, ale rok 1936 był jeszcze niezły. Gorzej zaczął przechodzić r. 1937, a już najgorzej 1938.

Smutne to były dla nas czasy, zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że Roman gaśnie powoli, lecz nieubłaganie, i że już na to rady niema.

Niepokorny jego duch borykał się z losem, silna wola walczyła z niemocą. Brał jeszcze udział w zebraniach, ale co raz rzadziej na nie już sobie pozwalał, licząc się z siłami i stopniowym ich ubywaniem. Troskliwą opieką lekarską otoczyli go w tym czasie przyjaciele: dr. W. Starkiewicz i dr. W. Łapiński, odwiedzając go po kilka razy w tygodniu. Często przyłączałem się do nich. Roman żartował ze mnie, nazywając „trzecim konsultantem".

Odwiedzali go również młodzi współpracownicy, znajomi i wielbiciele. Wszystkich przyjmował ze zwyczajną uprzejmością, starał się być rozmownym, chociaż prędko ulegał zmęczeniu. Ożywiał się więcej, gdy pokazywał nam ukazujące się tomy zbiorowego wydania swoich pism, nakładem księgarni A. Gmachowskiego w Częstochowie.

Cieszyło go to bardzo i wywoływało niekiedy uwagi o tem, co inni, młodzi zwłaszcza, piszą w sprawach dotyczących bytu Polski, któremi myśl jego zaprzątnięta była przez całe życie.

Nie zawsze był zadowolony z tego, co w tej mierze ukazywało się z tej, lub z innej strony, umiał jednak, jak zwykle, oddać sprawiedliwość tym, z którymi nie we wszystkiem się zgadzał.

Kiedyś pokazał nam leżącą na biurku świeżą książkę J. Mosdorfa („Wczoraj i jutro"), wyrażając się o niej, iż zasługuje na uwagę, gdyż są tu zagadnienia wcale umiejętnie oświetlone.

Sprawa udziału młodych sił w naszem życiu narodowem, zawsze go żywo obchodziła, dawała mu także często sposobność do rozmów z nami.

Zdarzyło się raz, iż zaczął szczególnie narzekać na brak wśród młodego pokolenia jednostek na większą miarę; zasępił się i wątpiąco mówił o ludziach.

Przedstawialiśmy mu z dr. W. Łapińskim, że w obozie narodowym, pod jego wpływem wychowało się sporo jednostek zdolnych, umiejących nieźle myśleć, pisać i działać. Jakoś niebardzo to go przekonywało, dowodziliśmy więc, że nie powinien innych mierzyć swoją miarą. I ten argument jednak nie wiele pomógł, wówczas, chcąc go trochę weselej nastroić, przytoczyłem mu wiersz z „Dziadów":

> Przestań narzekać, w niesłusznym gniewie,
> Jak było dawniej, nikt o tem nie wie.
> Uwiędną jedni, powschodzą inni,
> Chociaż mniej piękni, cóż temu winni.

Zakończenie widocznie go ubawiło, gdyż zaczął uśmiechać się do nas znacząco, jak to było jego zwyczajem, gdy miał na względzie coś zabawnego.

Żeby nie wyprowadzać go z weselszego usposobienia, nie dodałem tego, co miałem na myśli, mianowicie, że „piękniejszymi" są ci, co „wschodzą", posiadają bowiem piękno młodości, które może im wystarczać, o inne więc, do czasu, niezbyt się troszczą... Swoje dolegliwości fizyczne, a zwłaszcza różne zabiegi lecznicze, Roman nie zawsze znosił cierpliwie, czasami więc wyrywały się mu gorzkie uwagi. Pewnego dnia zwrócił się do nas z takim aforyzmem: „Życie to wcale ładna zabawa, ale jego koniec jest mniej zabawny". Myślał już więc coraz częściej o końcu własnych dni.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia 1937 roku, przyszedłem do niego z doktorami, by mu złożyć życzenia świąteczne. Powitał nas z radością, wnet jednak dziwnie spoważniał, i po chwili zamyślenia oznajmił nam, że wczoraj został wyspowiadany przez ks. prałata M. Nowakowskiego, a dzisiaj z rana przyjął Komunię Świętą. Poprosił potem p. Niklewiczową o opłatek, łamał się nim z nami mówiąc: „Wy starzy przyjaciele..." ale wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć zdania. Znowu się zadumał, a z wyrazu oczu jego można było się domyśleć, że pojednał się z tem, iż życie jego weszło już w cień śmierci.

Następnych kilka miesięcy 1938 roku przeszły nam w obawie, że może ona przyjść lada chwila. Apatia zwiększała się, rozmowy go męczyły, najchętniej pozostawał w łóżku. Tak z nieznacznemi zmianami, trwały rzeczy do jego wyjazdu w końcu maja do Drozdowa. Przyszedłem go pożegnać z przeczuciem, iż tym razem na drogę ostateczną, bezpowrotną.

W siedem miesięcy po wyjeździe z Warszawy, nadeszła wstrząsająca nas, chociaż wciąż oczekiwana, wieść o jego zgonie.

W dzień pogrzebu, gdym szedł za Jego trumną, przypomniały mi się słowa listu, którem mnie uspakajał pisząc, iż nie trzeba zapytywać: „na kogo teraz kolej?" i wybór pozostawić Panu Bogu!

Stało się, że został wybrany przed nami, rówieśnymi przyjaciółmi swoimi.

W żalu po tak wielkiej stracie, zostało nam na jego złagodzenie: wspomnienie długich lat, przeżytych z Nim w wiernem do ostatka braterstwie ducha; świadomość Jego nieśmiertelnej, w dziejach Polski, chwały; i to, że idziemy teraz z kolei Jego świeżym śladem, by się złączyć z Nim na zawsze!...

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

(Dok. nast.)

Z PAMIĘTNEJ ROZMOWY Z CHARLES MAURRAS'EM

W MAJU 1925 r. bawiłem w Paryżu w celu zebrania materiałów do pracy nad ustawą o organizacji Naczelnych Władz Obrony Państwa, do czego byłem powołany przez Komisję Wojskową Sejmu, jako referent projektu wniesionego do Sejmu przez Ministra Spraw Wojskowyah, generała Władysława Sikorskiego. Rozmowy jakie na ten temat, za zgodą Ministra Spraw Wojskowych, prowadziłem wówczas z najwybitniejszymi wodzami armii francuskiej, jak marszałkowie Foch i Pétain, szef sztabu Débeney, jen. Mangin i inni, łączyły się z konieczności również z ogólnemi zagadnieniami ustroju państwa. Mimo kilkunastu lat, jakie dzielą nas od tej chwili, zagadnienia te nie przestały być aktualne, a nawet stały się wszędzie, a także u nas jeszcze bardziej palące i oczekują wciąż właściwych rozwiązań.

Mając na myśli właśnie te zagadnienia i czytując w *„Action Française"* gwałtowne ataki na *régime* republikański i na jego wybitnych i zasłużonych przedstawicieli, jak Poincaré i Millerand, skorzystałem ze sposobności, aby przeprowadzić rozmowę z najwybitniejszym przedstawicielem nacjonalizmu i monarchizmu francuskiego Charles Maurras'em. Zastałem go na rue de Rome, gdzie wówczas mieściła się redakcja *„Action Française"* i spędziłem z tym uroczym człowiekiem dwie godziny na rozmowie, którą potem zaraz spisałem. Oto jej przebieg.

Ja: Pozwoli Pan Redaktor, że szczerze wypowiem swój pogląd na ostry sposób atakowania przez *„Action Française"* najwybitniejszych mężów Francji jak pp. Millerand i Poincaré, którym Polska tyle zawdzięcza dowodów czynnej przyjaźni i zrozumienia historycznej wagi współpracy Francji z Polską tak w czasie wielkiej wojny, jak w krytycznym roku 1920, a odtąd zawsze stale.

Maurras: Niewątpliwie, to są wielcy francuzi i był czas, kiedy ruch rojalistyczny we Francji popierał całą swą siłą politykę obu tych mężów, lecz ich złamał system republikański; gdy się przed nim ugięli, to zaszkodzili Francji i teraz ich zwalczamy. Niebezpieczeństwo, które idzie, może mieć skutki nieobliczalne, a tymczasem opinia publiczna we Francji jest apatyczną. Aby ją pobudzić trzeba... *„battre les gros matelas"* — i trzepać tych panów mimo ich niewątpliwych zasług.

Ja: Czy mógłby Pan Redaktor bardziej szczegółowo wyjaśnić ten pogląd?

Maurras: To nas mogłoby zaprowadzić do bardzo głębokich rozważań w zakresie zagadnień ustrojowych. W republice demokratycznej kierownictwo sprawami politycznemi jest nacechowane słabością i brakiem ciągłości. Zawistne troski o walki wewnętrzne odwracają demokrację od baczności i obowiązku walki zewnętrznej. Przewaga interesów partii może być nazwana regułą demokracji. A gdy nasza republika pozostaje republiką, Niemcy pozostają Niemcami. Ludzie przechodzą, lecz natura ludzka pozostaje. Trzeba zmienić instytucje, które ludzi wychowują, ducha *regime*'u, ideę republiki, a jakkolwiek idea ta wydaje się abstrakcyjną, zimną i oddaloną od życia bieżącego, to jednak znajduje ona wyraz we wszystkich faktach tego życia. Nic nie można zmienić, jeżeli się poprzestaje na zmianie ludzi. Tylu fałszywych mędrców usiłowało zastąpić monarchię małymi poprawkami, dotyczącymi osób, administracji, ustaw, kierownictwa. Lecz to są środki ostatecznie słabe i nieskuteczne.

Ja: A czyż Millerand i Poincaré nie naprawili błędów wynikających z ustroju, czyż posługując się ustrojem republikańskim Francji, jako narzędziem pracy nie uratowali Ojczyzny, doprowadzając ją do zwycięstwa?

Maurras: Panie, ale za jaką cenę, po ilu cierpieniach, na jak długo? Pokój po zwycięstwie był królestwem rozczarowań, rozczarowanie było tak szybkie i głębokie, że nowa Izba, dość umiarkowana, nie wybrała na Prezydenta Rzplitej szefa rządu z Traktatu Pokoju! Jeżeli Clémenceau był wcieleniem odwagi francuskiej, jego otoczenie wzbudzało niepokój przez ducha pożądliwości i lekkomyślność. Jego następcy jeszcze bardziej poddawali nas polityce Anglii. Walka partyjna, nieodłączna od suwerenności kolegium wyborczego, załamała politykę Milleranda i Poincaré'go.

Nic bardziej bolesnego i tragicznego nad doświadczenie Poincaré'go. Stał się on człowiekiem Francji, a nie partii. I nie jego polityczni przeciwnicy pozbawili go tego tytułu i usunęli z tak zaszczytnego stanowiska. Uczyniła to idea republiki, tajony wstyd Poincaré'go, aby nie przestał wydawać się prawdziwie ortodoksyjnym republikaninem. Przed wojną był on symbolem narodowego odruchu przeciwko rozbrojeniu, przeciw zaniedbaniom wojskowym i antypatriotycznym rządom. On to dał formułę polityczną *„Union sacrée"*. Jasny pogląd na Europę, na Niemcy, na pokój wyróżniły go ponad Clémenceau. Jego niewątpliwy duch obywatelski, jego prawość odróżniły go od Briand'a. Wobec trudności wynikających z zawartego pokoju, prawica kraju widziała w nim opatrznościowego męża. Skoro narzekał na swoją bezsilność w Pałacu Elizejskim, powołano go na Quay d'Orsay. Rozpoczął on politykę zagraniczną prawicy; tam znajdował oparcie i radę. Świat republikański prawie cały okazał się odpornym na politykę energiczną wobec Niemiec. Przyszły Prezydent Senatu, a obecnie Prezydent Doumergue, wypowiedział się przeciwko polityce okupacji Zagłębia Ruhry. Lecz ledwie Poincaré wkroczył do Ruhry, zaczął się on obawiać wpływu nacjonalistów i rojalistów, cofał się sam w sobie, dał się opanowywać wątpliwościom, sam przeciwko sobie zaczął robić opozycję. W kilkanaście dni po zajęciu Ruhry, 11 stycznia 1923, padł od morderczej kuli członek naszego ruchu, Marius Plateau, a strzał ten był dany przez anarchię, Niemców i politykierów z obozu Caillaux. *„Union Sacrée"*, potrzebna dla podtrzymania „polityki Ruhry", zaczęła się rozwiewać, mimo zachowania pozorów. Ten układ stosunków, który

dał Poincaré'mu siłę i autorytet dla polityki Ruhry, został zastąpiony powoli przez nawiązanie stosunków z lewicą. Polityka zewnętrzna od razu stała się mniej niezależną od Anglii, mniej stanowczą wobec Niemiec, a co najważniejsze, obojętną i nie chwytającą sposobności dla działania. Kiedy zajęcie Ruhry wywołało w Niemczech popłoch, zakończony chaosem pieniężnym w jesieni 1923 r., z chaosu tego Poincaré nie skorzystał, pozwolił Niemcom odbudować się i w ten sposób wykazał, że nic nie ośmieli się uczynić, co by hamowało odradzającą się siłę Niemiec. Po śmierci Barrès'a zabrakło sugestii i przestróg, które by powstrzymywały Poincaré'go. Co raz bardziej atakowany przez postępowe żywioły republikańskie — zadziwił on świat. Pozwolił Anglikom na kontrolę naszej polityki w Palatynacie, pozwolił Prusakom na zgniecenie ruchu separatystycznego i federalistycznego w Nadrenii. Wówczas świat anglosaski, jako wszechwładny pan, zaczął wkraczać do spraw europejskich i dyplomacja angielska wzięła odwet za okupację Ruhry, w myśl hasła całego narodu angielskiego, że jeżeli francuzi zajmą Ruhrę, to funt szterling wzrośnie do 100 franków. W przewidywaniu ofenzywy pieniężnej trzeba było postępować energicznie i szybko, stawiać Anglię wobec faktów dokonanych. Ponieważ jednak się nie śpieszył, ofenzywa finansowa dogoniła go i to wówczas, gdy systematyczna akcja nad Ruhrą zaczęła dawać swoje owoce. W kraju siły lewicy stały się napastliwe i zażądały całych kaskad koncesji w polityce zagranicznej. Wówczas Poincaré uważał za stosowne dać do poznania, że się wyrzeknie ostrego kursu. Zamiast zdobyć niezbędne miliardy przez sprzedaż monopoli państwowych, zwrócono się ku pomocy zagranicznej: ku finansom i polityce amerykańskiej. Lecz finanse zagraniczne wymagały wzrostu podatków. redukcji płac urzędniczych, zmniejszenia obsady personelu. To oczywiście wywołało olbrzymią falę niezadowolenia. Poincaré zaciął się w heroizmie republikańskim. Należało przynajmniej odsunąć wybory. Poincaré odmówił. Uważał to za środek niegodny, za nadużycie zaufania w stosunku do głosowania powszechnego! Fikcja republikańska bowiem wymagała, aby każdy czyn rozumny, każdy pogląd słuszny był koniecznie zrozumiały i przyjęty przez jasny umysł i szlachetne serce każdego wyborcy, a więc także zwiększone podatki przez opodatkowanych, redukcje stanowisk przez urzędników. Nie będąc ani bohaterem, ani świętym, nie będąc skłonnym do płacenia większych podatków, ani też do otrzymywania mniejszych pensyj, wyborca odpowiedział na żądanie zaufania Poincaré'go w jedyny sposób jaki mu był dostępny i możliwy: głosował za obozem przeciwnym i obalił go. Przewidzieli to ludzie z prawicy, i przepowiedzieli Poincaré'mu, że nie obalą go, lecz, że się on obali sam przez swą lewicową ideologię w sprawach wewnętrznych Francji i przez rzekomo związanych z nim ludzi lewicy.

Poincaré bał się zresztą zbytniego zwycięstwa prawicy, liczył, że co najwyżej zyska ona 20 głosów większości, jeżeli pozostawi się lewicy swobodę działania i nie użyje się nacisku administracyjnego przez prefektów.

Upadek Poincarégo nie był upadkiem człowieka; to cały system uległ załamaniu. Talent Poincaré'go był ostatnią kartą ustroju.

Doświadczenie Poincaré'go wykazało, że mimo swej chęci nie mógł równocześnie doprowadzić do zwycięstwa interesów narodu francuskiego i ustroju republikańskiego.

A więc gdy Poincaré zaniechał polityki prawicy, polityki monarchicznej bez monarchii, któraby wszakże doprowadziła do odbudowy monarchii, zaczął iść po linii, która narażała interes Francji. I tak jak w r. 1913 powiedział socjalista Sembat: „albo zaprowadźcie królestwo, albo przestańcie prowadzić politykę królewską: obalcie ustrój rzeczypospolitej, lub też przestańcie się łudzić, że możecie być w tym ustroju dobrymi zarządcami interesów Francji".

To, co było wczoraj, odnajdujemy dziś po wojnie. Odnajdziemy jutro. Ludzie na to tak długo błądzili, dreptali i zmieniali się, ażeby na końcu każdej drogi natknąć się na istotną prawdę polityczną, na potwierdzenie prawd stałych. Doświadczenie Poincaré'go wykazuje, jak polityka zewnętrzna ulega załamaniu pod wpływem walk partyjnych wewnętrznych z chwilą, kiedy do władzy dochodzą czynniki przyjaźnie usposobione dla polityki pacyfizmu i bierności za wszelką cenę. Suwerenność kolegium wyborczego naraża zawsze kraj na dyktat suwerena z zewnątrz.

Ja: U nas po 6-ciu latach trwania Sejmów, z których pierwszy był Sejmem suwerennym, w stronnictwach prawicy i środka dochodzi się stopniowo do przekonania, że system ludowładczy, oparty o proporcjonalne wybory, nie dające wyraźnej większości, jest źródłem słabości i nietrwałości rządów. To też w tych stronnictwach, nie wyłączając stronnictwa p. Witosa, szerzy się myśl wzmocnienia władzy wykonawczej. Zresztą Konstytucja 3 Maja, której tradycja jest u nas żywą, daje nam w tym kierunku przykład.

Maurras: Jeżeli stronnictwa większości Sejmu wstąpią na drogę wzmocnienia władzy wykonawczej, to na końcu tej drogi i Wy i p. Witos znaleźć musicie powrót do Monarchii!

Ja: Niekoniecznie — może dojdziemy do dyktatury?

Maurras: Niewątpliwie osłabienie władzy wykonawczej i bezsilność rządu wywołuje reakcję, która na różnych drogach szukać może rozwiązania tego zagadnienia. Jednakże dyktatura jest tylko kompromisem między ludowładztwem a koniecznością autorytetu i jest w dodatku systemem przejściowym, który się kończy z osobą dyktatora. To też dyktator nie może zastąpić instytucji trwałej, jaką jest władza królewska.

Ja: Więc Pan przypuszcza, że Polska dojdzie do królestwa?

Maurras: Jest to logiczne wyjście, jeżeli w Polsce istnieje świadomość niebezpieczeństwa słabości rządu oraz tradycyjna niechęć do „*absolutum dominium*". Przytem autorytet królewski, będąc niezależny od wyborów wszelkiego rodzaju kollegiów, godzi się w sposób najbardziej naturalny z gwarancją swobód obywatelskich, z zapewnieniem pełnych praw przedstawicielstwa narodowego.

Na tych uwagach zakończyła się nasza rozmowa.

Poznań STEFAN DĄBROWSKI

NA WIDOWNI

W setną rocznicę urodzin Adolfa Dygasińskiego. — O tem, co było siłą jego talentu. — Jego pieśń na cześć życia i słońca.

W MARCU r. b. przypada setna rocznica urodzin Adolfa Dygasińskiego. Przypomniało go właśnie w tej porze zbiorowe wydanie jego pism, bardzo starannie wykonywane pod redakcją Władysława Wolerta. Wydane dotychczas tomy, obejmujące opowiadania o psie Asie, o zającu, o panu Jędrzeju Piszczalskim (konie), krążą szeroko, czytane z upodobaniem jako nowości.

Z Dygasińskim wiążą mnie osobiste wspomnienia z lat jego końcowych 1895 — 1901. Droga mi jest ta pamięć ze względu na przyjaźń, która nas łączyła. Drukowałem w „Głosie" słynną powieść jego „Dramaty Lubądzkie", wiele miłych chwil spędziłem w jego towarzystwie w kółku, pielęgnującem tradycje „cyganerii warszawskiej". Należeli wówczas do tego kółką: Antoni Sygietyński, Piotr Chmielowski, Artur Gruszecki i inni przygodni.

Rozstając się z nim na początku 1902 r. przed wyjazdem swoim do Lwowa, nie przeczuwałem, że wkrótce dojdzie do mnie wieść o jego śmierci. Pod jej wrażeniem na jednym z zebrań czwartkowych Związku Naukowo-Literackiego wygłosiłem odczyt, poświęcony jego twórczości ze szczególnem uwzględnieniem „Godów życia", które właśnie w tym roku ukazały się w wydaniu książkowem.

Utwór ten uznano powszechnie za najszczytniejszy w jego twórczości. Dał on mi sposobność rozwinięcia przed słuchaczami poglądu na rolę miłości, leżącej w podstawie stosunku, jaki łączy prawdziwego poetę ze światem mu najbliższym. Teorię swoją zbudowałem samodzielnie, nie znając jeszcze tego wszystkiego, co na ten temat pisali poprzednicy z czasów Norwida; jest to jednak charakterystyczne dla Dygasińskiego, że on mianowicie — mędrzec pozytywizmu — utworami swojemi na tę drogę mnie wprowadził. I za to właśnie najbardziej jestem Dygasińskiemu wdzięczny.

Może filozofom sztuki ta moja teoria sympatii wydawać się niedostateczną, ale mnie ona bardzo się przydała choćby dla wyrozumienia potem Kasprowicza. Oto jak wyglądało wówczas to moje rusztowanie, do którego się uciekłem, aby wejrzeć w istotę natchnień poetyckich Dygasińskiego.

— — — — — — — — — — — — —

Dygasiński odbiegał od szablonu literackiego. Myśląc o nim, niepodobna zaspokoić się zdawkową formułą o pięknie i sztuce, która jakoby temu piękny służy. Dygasiński, jako poeta, był Homerem walki o byt w przyrodzeniu, wielbicielem przyrody. Nie był nigdy erotycznym, nie pisał hymnów do kobiety, ani też zbytnio nie zaprzątał sobie nią uwagi; nie uznawał piękna urzędowego; wzruszała go tylko prawda. Otóż niewyjaśnione jest pytanie, skąd się bierze egzaltacja poetycka w takich duszach, dochodząca do natchnionych hymnów poetyckich na cześć przyrodzenia?

Zasadniczych władz w duszy ludzkiej jest niewiele i te zlewają się w jedną nierozplątaną całość duchową, której konsekwentnie dzielić na włókna niepodobna. Uczony wkłada w swoją twórczość, oprócz myśli, znaczny zapas afektu i wiele wysiłku woli; twórca czynu — puszcza w grę również wszystkie władze duchowe. To samo twórca-artysty. Lecz w każdym z nich jest jakaś władza przemożna, która nadaje impuls i kierunek twórczości.

Co do wysiłków woli, którą celuje człowiek czynu, jest rzeczą zrozumiałą, że płyną one z instynktu zachowawczego, nakazującego sycenie życia czynem, aby się ostało w walce o byt. Jeżeli chodzi o władzę myślenia i akty twórcze myśli, to się znów powie, że człowiekowi właściwa jest ciekawość, żądza wiedzy, dająca człowiekowi wielką przewagę nad wszelkiem innem stworzeniem. Ale gdy mowa o zdolnościach wzruszania się estetycznego, wtedy zastępujemy określenie, sięgające istoty rzeczy, wywodem porównawczym. Zwykle się pisze w kursach estetyki, że: już zwierzęta mają poczucie piękna, że człowiek dziki rzeźbił nożem krzemiennym i t. d., ale gdzie tkwi wiekuiste źródło tego rodzaju wzruszeń — tego jednym wyrazem nie umiemy określić.

Nie będzie to, sądzę, dowodem skłonności do formalnego załatwiania się z zagadnieniami, jeśli dla symetrii to źródło nazwę — instynktem miłości, wrodzonym każdemu stworzeniu, miłości do wszechrzeczy. Na tej opoce stoi sztuka.

Nie można nazwać tego źródła metafizycznem, bo nie sięga ono poza kolebkę istnienia świata materialnego. Ta sympatia, łącząca ludzi ze światem otaczającym, jest jakoby n i e j a s n e m w s p o m n i e n i e m w s p ó l n o ś c i r o d o w e j w s z e c h r z e c z y.

Wszystko na świecie jest względem siebie w stosunku utajonej, potencjonalnej sympatii. Ona jest siłą kierowniczą życia, nie walka o byt, która jest tamtej stroną odwrotną i potwierdzeniem. Walka o byt dąży do przecinania mniejszych węzłów sympatii dla ocalenia donioślejszych i t y l k o d l a o c a l e n i a.

Sympatia do wszechrzeczy wrodzona jest wszelkiemu stworzeniu czującemu, ale staje się władzą czynną, miłością na pewnym poziomie rozwoju władz umysłowych. Człowiek pierwotny kocha swoje otoczenie martwe i żywe, ale nie jest w stanie uświadomić sobie tego; kocha rzeczy, których nawet nie spostrzega, ale dowiaduje się o tem dopiero wtedy, gdy je utracił. Nostalgia człowieka prostego, odsuniętego od swej okolicy, doprowadzająca go nieraz do samobójstwa, jest najlepszym tego dowodem. Czemże innem jest nostalgia od smutku i rozpaczy po stracie osoby ukochanej? Miłość dwu osobników jest konkretniejsza, bardziej interesowna, więc zerwanie jest nieraz zamachem na życie osobiste, ale w zasadzie typy miłości między kobietą a mężczyzną, matką a dzieckiem są tylko najjaskrawszemi, najlepiej doświadczanemi postaciami miłości powszechnej.

Miłość osobnicza zasłoniła nam wszelką inną. I było to w porządku rzeczy, dopóki nad rozwojem pojęć o świecie ciążyła wiara w nad-

przyrodzone pochodzenie człowieka, a wszelką psychologię zaczynało się od poziomu istnienia ludzkiego. Miłość wtedy była dobytkiem rodzinnym, społecznym, religijnym — istniała tylko między ludźmi w stosunku ich do siebie i do Boga. Stało się to z miłością, co z pojęciem złota, odkąd je wzięto do mennicy i w obieg. Znamy tylko złoto kurs mające; nie mniej złoto jest w ziemi i pozostaje kruszcem.

Wraz z miłością wyspecjalizowaliśmy poezję, wygłaszając nawet teorię, że źródłem wrażliwości na piękno, źródłem uniesień poetyckich jest żądza miłości osobniczej (Guyau). Zapewne w poezji miłosnej jest tak, ale w innej — w uniesieniu ducha np. na widok męczarni cudzej lub zachodu słońca — jakże daleko do tego pierwiastka miłosnego!

To też jest rzeczą ciekawą, że w epokach panowania racjonalizmu, kiedy rozgradzano rogatki między człowiekiem a niższą hierarchią stworzenia — poezja nie zwężała, lecz rozszerzała swój zakres miłowania. Tak było pod koniec „wieku oświecenia", który skończył się na tem, że wybuchnęła przez rozgrodzone rogatki poezja i zaczął się romantyzm, oparty na związkach miłosnych z przyrodą i ludem. Przedtem poezja nie ważyła się się na ten stosunek nieprawy, a jeżeli pisano na cześć natury, to dawano tej czci wyraz według wzorów klasycznych z czasów, kiedy nie wstydzono się wielbić natury.

Na epoce pozytywizmu trudno zademonstrować to zjawisko, bo były to czasy inne. Jednocześnie z rozgrodzeniem owych rogatek zagrzmiały hasła, nawołujące umysły do roboty praktycznej. W tych warunkach na żadne miłosne stosunki nie było odpowiednich warunków. Ale widzimy na wyjątkowych naturach, zwłaszcza na Dygasińskim, jak wspaniale działają przewroty umysłowe na proces rozszerzania się widnokręgów poetyckich.

— — — — — — — — — — — —

Bo fałszem jest, jakoby kultura umysłowa osłabiała twórcze władze artystyczne. Przeciwnie, bez wyćwiczenia władz poznawczych niema sztuki, oprócz reproduktywnej. Wielcy poeci byli i są ludźmi wysokiej na swój czas kultury umysłowej. A dlaczego? To już jest tajemnicą psychologii. Kocha się to tylko, co się zna, nie można miłować rzeczy nie przyswojonej umysłowi. Nie może być poetą swobód ludzkości, kto nie myśli o ludzkości, kto bada pod wpływem miłości własnej rany lub kwiaty jedynie duszy swojej.

Dusza nie żyje pasmami, lecz całością swoją. Interesy praktyczne umysłowości mają moc zawracania hasłami swemi uczuciowości w tym lub innym kierunku. Poeci romantyczni w czasach walki o swobody najbieglejsi byli w sprawach, dotyczących życia narodów. W czasach innych haseł, mniej idealistycznych np. pracy organicznej nie mogło być mowy o tamtym kierunku, ale za to była szansa wielkiego ukochania świata materialnego.

Artysta w poznawaniu rzeczy może się posługiwać intuicją, albo metodą naukową — to istoty stosunku nie zmienia, ale poznawać rzecz musi. A nie wszystko da się poznać przez intuicję. Zagadnienie życia, cierpienia, potrzeby i przeszłość narodu, życie przyrody w swoim mechanizmie, a nie w dekoracji jedynie — wszystko to wymaga nakładu pracy poznawczej, tem większej, im bardziej jest rzecz złożona.

Jest to żelazna konieczność leżąca w istocie sztuki. Twórczość artystyczna polega na wydobywaniu z tego, co bierze ze swój przedmiot, cechy najistotniejszej. Artysta prawy, dąży do tego, aby zawładnąć najistotniejszą cechą przedmiotu — to jest jego stosunek miłosny do rzeczy: ująć istotę rzeczy najgłębszą, wiekuistą, przyswoić ją sobie indywidualnie. Aby tego wyboru cech dokonać, trzeba je znać niemal przyrodniczo i dopiero wczuć się w nie duszą poetycką przez umiłowanie.

Dowodzono, że poeta jest człowiekiem pierwotnym. Jest to prawdą o tyle, że ma czystszy od innych instynkt sympatii, jakby był bliższym wszelkiego życia. Ale z drugiej strony ten człowiek pierwotny jest mistrzem swojego otoczenia, bo nikt nie jest równie jasnowidzącym w odnajdywaniu związków sympatii między ludźmi a otoczeniem. Artysta włada sercami — mówi się pobieżnie, z całą zresztą słusznością — włada on podstawową władzą duszy ludzkiej, sympatią jej do świata, tej władzy jest rzecznikiem i mistrzem.

Na Dygasińskim widzimy, czem jest miłość w sztuce. U niego, u tego pozytywisty, naturalisty, okrzyczanego pesymisty, który na świat patrzył przez pryzmat walki o byt, miłość wygórowała nad wszystkiem i odtąd dopiero stał się poetą. W „Godach życia" niema przecież wiersza jednego, poświęconego miłości własnej lub osobniczej, niema sentymentalizmu, a jednak utwór cały jest jednym hymnem miłości. Nad zło i dobro, nad piękno i brzydotę, nad walkę duchów światła i ciemności, nad słońce samo wznosi się dusza poety ze swoją wrażliwą sympatią dla wszelkich objawów życia i daje im wyraz idealny.

Zadziwiające zjawisko! Co można zrobić więcej dla zagłuszenia w sobie instynktu poetyckiego, dla zabicia w ogóle sentymentalizmu, jak zrobił Dygasiński pod nakazem ducha czasu? Oddał umysł całkowicie na usługi pozytywistycznego racjonalizmu, w poglądach etycznych hołdował zasadzie walki o byt, jako podstawowemu czynnikowi życia powszechnego, a jednak ostała się w nim samym władza duchowa, sprawująca nadto rządy naczelne w jego duszy, która była zaprzeczeniem wszelkiej racjonalności oraz interesowności zachowawczej.

Dygasiński — to reakcja przeciwko romantyzmowi, jego, jak się zdawało, całkowite zaprzeczenie. Byłby zaprzeczeniem, gdyby nie został poetą. Na gruncie prawdziwej sztuki umysły się schodzą, bo tu się kończą rządy wszystkich innych władz umysłowych, a rozpoczyna dyktatura instynktów bezinteresowych: tęsknoty i sympatii do świata.

Dygasiński w godach piśmiennictwa naszych czasów był tym opiewanym przez siebie w „Godach życia" Mysikrólikiem.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

DUCH XVIII WIEKU WCIĄŻ ŻYWY...

Metody gry dyplomatycznej powstałe w wieku XVIII-ym były zjawiskiem do tyla osobliwem, że się stały przedmiotem studiów osobnych, nauką historyczną wykładaną z katedr szkół poświęconych wiedzy politycznej. Metody owe, produkt epoki absolutyzmu oświeconego, miały opinię tak czegoś skończenie wykształconego, wzorowego, że przetrwały wstrząsy rewolucyjne bijące w absolutyzm królewski, dworski, przetrwały romantyczny okres demokracji, potem kapitalistyczno - pozytywistyczny okres demokracji, broniąc się nawet aż po dzień dzisiejszy najnowszym, zdecydowanie rewizjonistycznym prądom. Prądy te, w stosunku do przestarzałych chwytów i rozgrywek, w innej atmosferze powstałe, tak sprzeczne z atmosferą ustrojów, co to przejawem są już wieku XX-go, tego, zrodzonego w okopach Wielkiej Wojny, zajęły stanowisko negatywne.

W kontakcie bezpośrednim przywódcy z masami jest wiele że stosunku noszącego cechy wzajemnej współpracy: masy chłoną to co im powie przywódca, ten z kolei w nastroju mas szuka natchnienia, więcej — siły, potrzebnej mu do stworzenia i realizowania koncepcji. Przywódca musi powiedzieć czego chce, to z kolei, czego on pragnie, ma się stać pragnieniem mas. Mussolini nie krył się wcale z zamiarem podboju Abisynii, Hitler ukazał cały swój program, nie ukrywał go w obawie, ażeby mu owego programu kto... nie wykonał Po objęciu Zagłębia Saary, padła zapowiedź dalszych osiągnięć terytorialnych. I przyrzeczeń dotrzymano. Dzisiaj z pałacu kanclerskiego w Berlinie idzie wołanie o kolonie. Wołanie to słyszy cały świat a przede wszystkiem każdy Niemiec.

W Polsce kanclerski pałac radziwiłłowski nie rzuca zapowiedzi tyczących się posunięć w polityce zagranicznej, bo tak się stało, że w Polsce urząd premiera łączy się nie z polityką zagraniczną, ale wewnętrzną. Charakterystyczne. A pałac Brühlowski? Ten wiernie trzyma się tradycji swych murów. Wykwintny barok saski przechodzący w rokoko, ma jakby zaklęty w sobie styl dyplomacji wieku XVIII-go, jeno rasowej dworskości w nim dzisiaj mniej i absolutyzm stracił swój tak charakterystyczny dla epoki, w której powstał, przymiotnik. O poczynaniach pałacu Brühlowskiego dowiadujemy się zwykle „po owocach", czyli po próbach własnej reakcji na wyniki wprowadzania w czyn zamierzonych koncepcji. Wiemy np. ostatnio, że min. Beck pragnął granicy polsko - węgierskiej. I naród cały jej pragnął. A więc... o co chodzi?—spyta może głos z Wierzbowej.

O poczynaniach pałacu Brühlowskiego dowiadujemy się i z wypowiedzi obcych. Ostatnio np. Gayda, świeżo przybyły do ojczyzny z Warszawy, gdzie przebywał wraz z ministrem Ciano, ogłosił w swym dzienniku, że Polska zgłosi pretensje do kolonii. Zgłoszenie pretensji polskich do kolonii leży i w planach polityki włoskiej, a więc naród włoski musiał się o tem dowiedzieć. Ale każdy przyznać musi, że zgłoszenie pretensyj polskich do kolonii leży przede wszystkiem w planach polityki polskiej, czemuż więc Polska dowiedziała się o tem z artykułu dziennika włoskiego?

B.

DEKLARACJE I SLOGANY

W dniach ostatnich Polskie Radio poświęciło wiele minut rocznicy ogłoszenia deklaracji Obozu Zjednoczenia Narodowego, czyli tak zwanego (a nazwanego przez Goetla), „Ozonu". Minuty te upłynęły wcale niepostrzeżenie, może dlatego, że nie były przeplatane koncertem Jana Kiepury na temat „Umarł Maciek umarł..."

Dwa lata minęły od czasu ogłoszenia deklaracji, a my wciąż słyszymy deklaracje i deklaracje, czyli że w gruncie rzeczy obchodzimy dwuletnią rocznicę ogłaszania deklaracji. „Ozon" tem się różni od innych ugrupowań politycznych w kraju, że nie musi w trudzie największym dochodzić do władzy. Dlaczego więc nie wziął pełnej odpowiedzialności za bieg spraw w Polsce? Otrzymamy zapewne odpowiedź, że dzieje się to dlatego, iż właściwie „Ozon" jeszcze się nie uformował. Nie odpowiemy zdziwionym: „Kiedyż się wreszcie uformuje?!", ale odpowiemy stwierdzeniem, iż stronnictwo, które ma w parlamencie zdecydowaną większość, większość obwarowaną regulaminem dającym stronnictwu temu pełną i wyłączną inicjatywę, uznać musimy za ostatecznie ukształtowane. Czego się bo ono jeszcze może spodziewać?

Sprawa stosunku „Obozu Zjednoczenia Narodowego" do odpowiedzialności za bieg spraw ogólnych, to sprawa stosunku stronnictwa parlamentarnego do rządu, a więc w pewnym sensie, wycinek zagadnienia ustroju państwa, tak jak i wycinkiem zagadnienia ustroju jest ordynacja wyborcza. Jeśli idzie o tę ostatnią, to sloganem: „Zapamiętaj cztery słowa, sejm to ordynacja nowa" wyrzeczono się uroczyście sławkowskich koncepcji wyborczych, które zainicjowały zjawisko bojkotu wyborów do parlamentu. Nie ułożono jednak do tej pory — jak wiemy — zręcznego sloganu na określenie stosunku stronnictwa parlamentarnego do rządu i sloganu tego nie należy się w dniach najbliższych spodziewać, bo i okazji brak i arcydowcipny poeta Minkiewicz wyraził publiczną skruchę, iż swym dwuwierszem wprowadził obywateli w błąd.

B.

NAUKA I LITERATURA

O BOLESŁAWIE LEŚMIANIE

Studium A. Szczerbowskiego o Leśmianie [1]) jest szkicowe, pisane metodą impresyjną, z chęcią określenia, przy znacznym użyciu cytat, ewolucji duchowej poety i jego charakteru. Robota została przeprowadzona w szczegółach dosyć sumiennie, jakkolwiek związek między psychiką Leśmiana, a jego wierszami, czy też, powiedzmy raczej, między treścią jego utworów, a ich wyglądem słownym — nie został konsekwentnie uzasadniony, wyszedł zbyt luźno.

Trzeba pamiętać, że Leśmian — to nazwisko trochę poetyckie. Nazwisko rodowe poety brzmi: Lesman. Pochodził on, jak wiadomo z dobrej, starej rodziny żydowskiej.

---

[1]) Adam Szczerbowski: Bolesław Leśmian. Str. 68. Warszawa — Zamość, 1938. Koło Miłośników Książki.

P. A. Szczerbowski zdaje się o tem nie wiedzieć. Nie zauważył tego, a przynajmniej, zagłębiając się w tajniki duchowe poety, określając typ jego uczuć i myślenia — nie dotknął, nawet najdelikatniejszą aluzją, jego żydowskości. Co za tabu! O ile wiemy, wszyscy nieomal krytycy, piszący dotąd o Leśmianie, nie zwrócili także uwagi na tę sprawę. Konspiracja milczenia.

Natomiast kilka razy w książce czytamy, że autor „Łąki” jest wielkim polskim poetą, że w nowoczesnej liyyce polskiej zajmuje najwyższe stanowisko. Odłóżmy narazie na bok kwestię, czy i o ile eseista przecenił „geniusz” Leśmiana. W tej chwili zarzucamy mu w zasadzie wadliwe potraktowanie przedmiotu.

Nie można zapominać o tem, że Leśmian był żydem i to się odbiło tak w jego języku, jak i w sposobie myślenia, w charakterze intuicji poetyckiej, w typie dyspozycyj uczuciowych.

Jest sprawą kłopotliwą, do jakiej narodowej literatury go zaliczyć. Przeszedł przez kąpiel silnej asymilacji, pił i jadł, jak mówią Rosjanie, z duchowych źródeł polskości, ale to nie spłukało z niego rasy, wszczepionej od wieków w duszę, nie przeistoczyło jego tkanki duchowej. Twórczość jego nie jest żydowska (działanie asymilacji kulturalnej), nie jest także polska (głos krwi, działanie charakteru narodowego i dziedzictwa kultury). Trzeba jego utwory tak samo, jak i wielu innych poetów — umieścić gdzieś pomiędzy jednem, a drugiem ogniskiem. Wprowadzenie aspektu narodowego wyświetliłoby znacznie prościej i pewniej zawiłości myśli i estetyki Leśmiana, niż teksty filozoficzne, które p. Szczerbowski tu i owdzie po omacku doczepia.

Wyjaśniłby się więc najpierw język Leśmiana, jego polszczyzna oryginalna, dziwaczna. przerafinowana intelektualnie, jego etymologiczny werbalizm, znamionujący w całej pełni żydowskie myślenie językowe. Te kalambury, neologizmy, wieloznaczniki, to kabalistyczne szukanie bytu w formie słowa — toż to piękny typowy okaz żydowskiego literata, może nawet bardziej typowy, niż Tuwim. Mówią o tym owe śniarze, dziejby leśne, łąki (z dwoistym sensem, od „łąka” i „łączyć”) kwiaciate sady rozstajne, napoje cieniste, oddaleńcy, oraz takie czasowniki, jak: roztopolić, stodolić, człowieczeć, bożyścieć...

Jeszcze większe bodaj usługi ku zrozumieniu Leśmiana oddałoby spostrzeżenie jego żydowskości w sferze uczuć i pojęć. Wyszedłby na jaw jego intelektualizm, mechanizm jego lapidarności, koncentrującej, nie jak np. u Kasprowicza — cały organiczny świat ducha, ale rebusowe zawiłe spekulacje filozoficzne. Jasnym by się stał stosunek tego poety do przyrody — biologiczny, jego materialistyczno-biologiczna koncepcja bytu, którego ogniwem staje się człowiek głównie przez miłość płciową. Zrozumielibyśmy, w jakich pokładach duchowych gruntowało się, w jakich tradycjach kształciło — Leśmianowskie pojęcie Boga i Jego stosunku do człowieka, tak wyraźnie przedstawione w „Dziejbie leśnej”. Ten Bóg ma wszystkie atrybuty, jakie w Nim ujrzał Mojżesz, i inni autorowie Starego Testamentu. Nie hymny Rigwedy i Nietzsche wyrobili w Leśmianie dążenie do nicości, wrażliwość na aspekt trwania i przemijania w bycie, ale w tę właśnie stronę skierował go duch Izraela, judaizm znacznie bliższy religiom dalekiego wschodu, niż chrystianizmowi, opartemu o myśl grecką i rzymskie pojęcia polityczne. Nie Bergson wzbudził w Leśmianie niechęć do klasycznego rozumu, tylko poprostu odezwała się w tym człowieku mistyka żydowska, dusza rabinów, ślęczących od setek pokoleń nad Kabbałą.

Rozumie się, że nie wszystko da się w Leśmianie wytłumaczyć jego żydowskością. Celem krytyka nie koniecznie musi być wykazanie cech narodowych, czy rasowo-kulturalnych poety. Jeżeli jednak czyni się próbę charakterystyki ogólnej poety, jeżeli się określa jego filozofię i psychikę, jeżeli już się bada wpływy i źrodła jego pojęć, jak to robi p. Adam Szczerbowski w swoim szkicu, to nie można pominąć sprawy tak ważnej, jak geneza narodowa pierwszorzędnych cech kultury Leśmiana.

Nic dziwnego, że krytyk, który o tem wszystkiem nic nie wie, zachodzi w głowę, skąd owa Leśmianowska „przedziwna symbolika”, gdzie „geneza fascynującego, urocznego słowotwórstwa, ów zaborczy, zachłanny stosunek do słowa“. Nic dziwnego, że wypisuje takie równie egzaltowane, jak z gruntu błędne opinie: „Fantazja poety dochodzi tu (w „Dziewczynie”) do zawrotnych wyżyn, kończąc wybuchem prometejskiego buntu”... Na dowód tego prometeizmu cytuje p. Szczerbowski słowa: „a ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?”

Tymczasem prawdziwy prometeizm jest duszy żydowskiej najzupełniej obcy, — i rzeczywiście w „Dziewczynie”, czy gdziekolwiek indziej u Leśmiana nie ma go ani śladu. Podobną wartość mają „rewelacje” pana Szczerbowskiego o „wielkości” Leśmiana.

INT.

OPOWIEŚĆ O MĘŻU BOŻYM

PRACA wybitnego uczonego nie zamyka się w granicach polonistyki ani nawet slawistyki, stale bowiem autor przedstawia dzieje poszczególnych motywów legendy na szerokiem tle literatury porównawczej. Na skutek dużej przejrzystości układu z łatwością odrazu odszukujemy zarówno teorię samej legendy jako gatunku literackiego, jak i powstanie i rozwój legendy o św. Aleksym (Mężu Bożym), przy uwzględnieniu zasadniczych jej redakcyj: (kanonicznej, obydwu syryjskich, bizantyńskiej); następnie historię tego motywu u Słowian południowych, w literaturach; czeskiej, słowackiej, polskiej i na Rusi — wreszcie obszerny dział tekstów i bibliografię.

Literatura starochrześcijańska miała bogato reprezentowany dział historiografii, a w nim, prócz roczników i kronik, obszernie potraktowane biografie. Odgałęzieniem sięgającem terenów w literatury religijnej, jest hagiografia: żywoty świętych i t. zw. pasje czyli opowieści o męczennikach. Stąd już krok tylko do średniowiecznej legendy o świętych.

Nasuwa się na marginesie pewna uwaga: oto jeżeli przyjmiemy, idąc za autorem, fakt typowego schematu legendy hagiograficznej, przestrzeganego zazwyczaj u poszczególnych, przeważnie bezimiennych, twórców, — to trzeba się zgodzić również z faktem zasadniczego podobieństwa wzajemnego świętych w Kościele powszechnym, odpowiadających w stopniu najwyższym zasadniczym wymaganiom, jakie człowiekowi na ziemi stawia Katechizm. Święci to jakby osobna rasa ludzka, a właściwie ponadludzka, charakteryzująca się heroizmem i altruizmem, w stopniu ponadprzeciętnym, — heroizmem, dodajmy, normowanym przez pokorę, płynącą z doskonałej miłości Boga.

To też analogia do starożytnych herosów jest tylko częściowa, jak również i analogia legendy hagiograficznej do epiki heroicznej. Można natomiast, ściślej rzecz ująwszy, powiedzieć, iż kult świętych, równoległy w pewnym sensie, w perspektywie historycznej, do kultu herosów, nie wypłynął zeń, lecz z kultu męczenników za wiarę Chrystusową. Gdyż bohaterami najwyższej rangi w armii chrześcijan są właśnie męczennicy. W epoce Kasprowicza (ob. wykłady o prometeizmie — Rocznik Kasprowiczowski, b. r.) w poszukiwaniu literackich rodowodów dla chrześcijańskiego kultu męczenników sięgniętoby zapewne do mitu o męczenniku i herosie starożytności — Prometeuszu. My dziś widzielibyśmy podobieństwa jedynie pozorne, różnice zato (bunt przeciw boskiej istocie i cel szczęśliwości ziemskiej, choć założony nie dla siebie) nader istotne.

Poszukiwania śladów najpierwotniejszej redakcji legendy o św. Aleksym wiodą aż do Syrii i dalej do Persji a nawet do Indyj (wydaje nam się, że motyw porzucenia małżonki w żadnym razie nie jest katolicki), gdzie opowieść legendarna o Buddzie (Księciu Sidharcie) dziwnie przypomina znany nam wątek o synu bogacza rzymskiego, co wzgardził bogactwem i szczęściem zacisza domowego.

Książe Sidharta był chowany umyślnie w niewiedzy chorób i śmierci i dopiero widok zmarłego, spowitego w całun grobowy, gotowego do odpłynięcia Gangesem w ostatnią wędrówkę, i straszliwa nędza trędowatego, wreszcie niedołęstwo starca, o jakiem on nie miał pojęcia, — otworzyły i poraziły mu oczy. Wtedy zwątpił o mocy i trwałości swych bogactw i władzy — w brudnej symarze porzucił ziemskie królestwo i znalazł w ascezie i dobru, które czynił wokoło ostoję przed grozą śmierci i zniszczenia. Zagubiwszy siebie odnalazł się.

Polska wierszowana legenda o św. Aleksym [1]), „*Vita Sancti Allexy Ritmice*", dochowana w rękopisie z w. XV., (wyd. po raz pierwszy w r. 1876), oznaczonym datą 1454 r., odbiegła oczywiście daleko od wschodniego wzoru, bezpośrednio czerpała prawdopodobnie z poetyckiej redakcji łacińskiej.

Istnieje też prawdopodobieństwo, że w Polsce należała zapewne do repertuaru pieśni dziadowskich, czego dowodem, iż znajdujemy ją w „Wieńcu pieśni żebrackich z żywotów świętych i innych podań prawdziwych", wyd. w roku 1860 przez Michała Suchorowskiego.

Z bardziej znanych w polskiej literaturze autorów, którzy w różnych epokach wzięli na warsztat poetycki dzieje św. Aleksego, należy przypomnieć Skargę (w „Żywotach Świętych"), w pocz. XVIII w. Chrościńskiego, ostatnio zaś Kazimierę Iłłakowiczównę, której przepiękna „Opowieść Małżonki i świętego Aleksego" tak serdecznie wzrusza licznych czytelników jej zbioru poezyj: „Opowieść o moskiewskiem męczeństwie". „Złoty wianek" (1927). Typowo lokalną adaptacją zagranicznego motywu jest legenda o Kazimierzu —Korsaku, opracowana między innymi przez Władysława Syrokomlę.

Całość dzieła jest wzorem gruntownego i wszechstronnego, jednocześnie z polotem pisanego, bez szkolarskiej rutyny, opracowania.

St. J.

---

[1]) Stefan Vrtel-Wierczyński. Staropolska Legenda o św. Aleksym. Na porównawczem tle literatur słowiańskich. Poznań. Nakładem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z zasiłku Funduszu Kultury Narod. i Funduszu Nauk U. P. Skł. gł. w Księg. J. Jackowskiego w Poznaniu. Str. 324. Tablic 15.

RUCH WYDAWNICZY

Pamięci Romana Dmowskiego, 9.VIII.1864—2.I.1939. Wydawnictwo „Warszawskiego Dziennika Narodowego", r. 1939. Str. 144 formatu wielkiej czwórki.

Jest to bodaj najlepsze z dotychczasowych wydawnictw, informujących o życiu i dziełach Największego Polaka w nowożytnych dziejach Polski. Wydanie albumowe „W. D. N." jest szczególnie doniosłym źródłem, jeśli idzie o odtworzenie ostatnich chwil życia i pogrzebu Dmowskiego.

Książkę rozpoczyna wstęp, odtwarzający pierwsze wrażenie na wieść o śmierci Wodza. Następuje życiorys R. Dmowskiego, Jego rodowód oraz opis ostatni dni i chwil Jego żywota. Dalej wspomnienie W. Filochowskiego i sprawozdania z uroczystości żałobnych w kraju. W dziale „wspomnienia, relacje, wypowiedzi", po słynnym artykule Władysława Konopczyńskiego, prof. U. J.: „O miejsce dla Dmowskiego w historii", piszą: Dr. Tadeusz Bielecki, Dr. Jan Załuska, Stanisław Kozicki, Stefan Sacha, Janusz Rabski, Bohdan Wasiutyński, Stan. Piołun-Noyszewski, Bogumił Dworak, Wład. Jabłonowski, Bohdan Winiarski, Kazimierz Tymieniecki, Ks. Stan. Tworkowski, Jędrzej Giertych, Marian Żegota-Januszajtis, K. Chmielewski, Ks, Wł. Matus, M. Owidzki i inni. Następuje przegląd głosów prasy polskiej o Dmowskim i niezliczone kondolencje od wszelkich warstw i zawodów całego narodu, ze wszystkich obszarów państwa.

Książkę zamyka bibliografia Dmowskiego, sporządzona dokładnie przez W. Butlera. Poezje i liczne ilustracje zdobią to wspaniałe wydanie albumowe, podnosząc jego wartość, jako dokumentu historycznego.

(int.)

*

Marian Kiniorski: Z czterdziestu pięciu lat wspomnień o Romanie Dmowskim. Warszawa 1939. Str. 42.

Marian Kiniorski, jakkolwiek o kilka lat młodszy od Dmowskiego, należy do wielkiego pokoleuia Jego towarzyszów pracy. Ze Zmarłym łączyły go stosunki w ciągu 45-u lat. Broszura Kiniorskiego (złożył się na nią cykl artykułów, zamieszczonych uprzednio w „Warsz. Dzienniku Narodowym") zawiera wiele interesujących szczegółów życia Dmowskiego; jest poważnym materiałem dla przyszłego biografa i historyka, piszącego o Dmowskim i Jego epoce. Ambicją autora było podać fakty z życia Dmowskiego naogół nieznane, oraz rzucić światło na życie prywatne Wodza ruchu narodowego.

(int.)

*

W trzydziestolecie „Ateneum Kapłańskiego" 1909—1939. Odbitka z „At. Kapł.", tom 43. Włocławek, Seminarium Duchowne. Str. 8.

W tym roku obchodzi trzydziestolecie istnienia miesięcznik „Ataneum Kapłańskie", wydawany przez grono księży Seminarium duchownego we Włocławku.

„Ateneum Kapłańskie" ma przedewszystkiem pogłębić znajomość wszystkich dziedzin nauki katolickiej, oraz nauk pokrewnych. Zadaniem pisma, według intencyj jego twórców i późniejszych kierowników, jest ugruntowywanie wiedzy czytelników-kapłanów, wiedzy tak bardzo potrzebnej im w rozwiązywaniu najrozmaitszych trudności praktycznych i w osiąganiu tego spokoju duchowego jaki daje poznanie prawdy.

Trzydzieści lat pracuje „Ateneum Kapłańskie". Przetrwało ono czasy niewoli i bardzo ciężkie pierwsze lata niepodległości, a dziś znajduje powszechne uznanie duchowieństwa i władz przełożonych. Możnaby jedynie wskazać, że w stosunku do założeń pisma zbyt mało zajmuje się sprawami teologicznemi i teoretyczno-religijnemi. Pociągnięte gustem czytelników i życiem wciąż nasuwającem nowe sprawy tkwi zanadto w tematach szczegółowych. Wydaje się nam, że przez nawrót „Ateneum Kapłańskiego" do dawnych swoich, bardziej teoretycznych tradycyj, wypełniłoby ono lukę jaka we współczesnem czasopiśmiennictwie dla kapłanów polskich istnieje.

NOWE KSIĄŻKI

Földes Jolan. Orzeł czy reszka. Warsz. Książnica-Atlas.

Fodor M. W. Na południe od Hitlera. Warszawa, Książ.-Atlas.

Panzini Alfredo. Ksantypa. Warsz. Książ.-Atlas.

Panzini Alfredo. Latarka Diogenesa. Warszawa, Książ.-Atlas.

Wiktor Jan. Błogosławiony chleb ziemi czarnej. Książ.-Atlas.

Łukanin Eugenia. Krzyśko Magnus. Powieść historyczna. Kraków. Tow. Krzyżanowski.

Dygasiński Adolf. Pisma t. 29. Zając. Inst. Wyd. Bibl. Polska.

Kisielewski Józef. Ziemia gromadzi prochy. Poznań (1939). Księg. św. Wojciecha. Str. 507 (Z wielu ilustr. Wyd. ozdobne).

Sprawy Narodowościowe. Dwumiesięcznik poświęcony badaniu spraw. nar. Warsz. R. XII (1938) nr. 4—5. Str. 365—554. Cena zł. 5.—

Obozy pracy wojskowo-społecznej. Bibl. Legii Akad. w Warsz. 1938. Str. 84.

*

Katalog rękopisów Biblioteki Narodowej. Tom II cz. 1. Zbiory Biblioteki Rapperswilskiej. Rękopisy 1313—2299. Opracowali Adam Lewak i Helena Więckowska. Str. XII i 559. — Tom II cz. 2. Indeksy katalogu rękopisów 1—2299. Str. 348. Warszawa 1938.

Z TEATRU

NASZE MIASTO

Thorton Wilder: „Nasze miasto", sztuka w 3-ech aktach w Teatrze Narodowym. Reżyseria Leona Schillera. Scena i kostiumy St. Cegielskiego. Muzyka Bacha, Händla, Mendelssohna. Przekład Julii Rylskiej.

KRYTYCY twierdzą, że Wilder nawiązuje do starych tradycji teatru Szekspira, oraz do teatru chińskiego. W „Naszym mieście" bowiem nie ma żadnych dekoracyj; komedia rozgrywa się w pustej, gołej sali teatralnej. Nie można przecież nazywać dekoracjami dwóch drabinek, deski do prasowania i paru schodków z prymitywnemi ramkami, mającemi symbolizować drzwi. Tylko aktorzy występują w ubiorach realistycznych, odpowiadających środowisku i epoce. I tylko ponad sceną wisi niebo prawdziwe, a nawet efektowne, bądź to w blaskach świtu, bądź iskrzące się gwiazdami. Tak tedy już od pierwszego rzutu oka ocieramy się o szerokie tchnienie wielkiej symboliki: ziemia i niebo, a na tym tle — człowiek.

Od początku występuje „dyrektor teatru", a właściwie reżyser; jego sylwetka także, w ostatnim zwłaszcza akcie, dziwnie jak gdyby poważnieje; w błyskawicznej refleksji widza przeobraża się — z komicznej postaci zdemaskowanego reżysera w jakiś fantom — jakgdyby Boga, kierującego losami żywych i umarłych.

Wilder ma coś z wielkiego stylu komediowego. Jego szczegóły są wykonane czysto i jasno, a koncepcja całości jest potężna i daje wiele do myślenia. Obejmuje nawet za wielki temat, otwiera zbyt szerokie perspektywy, do tego stopnia, że zaciera się jakgdyby linia horyzontu; obszar życia, zawartego w „Naszym mieście" jest ujęty w tak wielkich całościach, komediopisarz potrąca o tyle ważnych motywów, że żadnego z nich nie precyzuje, pozostawia olbrzymie pole domyślności słuchacza, główne myśli swej koncepcji świata każe chwytać po omacku, intuicyjnie, otaczając je tajemniczością.

Obrał sobie niezmiernie trudne zadanie: przedstawić życie szarych ludzi z małego miasteczka, jako całości społecznej, nie wykraczając, o ile to możliwe, poza regularność przemian socjalnych na tle powtarzających się systematycznie zjawisk przyrody. Nuda tchnie z takiego tematu, nuda jest zawsze w surowym, życiowym kołowrocie małomieszczańskim. Ażeby z tego zrobić dzieło sztuki, potrzeba nielada fantazji. Wilder, czując grożące niebezpieczeństwo, wysilał się, jak mógł, wprowadził cudaczny pomysł inscenizacyjny, puścił się nawet na „chwyty" kawiarniane, na sztuczki komiki cyrkowej, stawał poprostu na głowie, żeby tylko publiczność zainteresować i poruszyć.

Przedewszystkiem zaś, co wynikało z głębszej, artystycznej potrzeby, musiał wyjść poza granice pospolitości, musiał do sztuki wprowadzić sensację, egzotyzm, zaburzenie w świecie. Wspomniał o wielkiej wojnie, która wiele zmieniła w miasteczku i stworzył scenę życia pozagrobowego.

Są w „Naszym mieście" duże... intuicje dramatyczne, są niejakie zarysy ciekawych koncepcyj, które, gdyby je mocniej postawić i z większą świadomością w komedii przeprowadzić, mogłyby stać się duszą utworu i zrobić głębokie wrażenie. Zarysowuje się stosunek doczesności i wieczności. Majaczy związek, a jednocześnie przeciwieństwo — nadprzyrodzoności i natury. Realizm ociera się o symbolikę. Prymityw dziecinny graniczy z wysokim kunsztem i poważną refleksją. Komizm — dziwną drogą paradoksu przeistacza się w patos. Ale to wszystko należy raczej do sfery przeczuć. Dlatego komedia niewątpliwie wywoła znacznie więcej dyskusji co do jej wartości i sensu, niż bezspornego uznania.

To, co niewątpliwe, co jasno rzuca się wszystkim w oczy — to usunięcie dekoracyj i rekwizytów i umieszczenie paru aktorów na sali, między publicznością. Poco to Wilder zrobił? Chyba poto, żeby wciągnąć widzów w nastrój; bał się, że ognisko sugestii za rampą będzie za słabe, więc wysłał swoich ludzi między krzesła, aby dotarli do publiczności i wzmocnili w niej poczucie związku ze sceną. A gra na niby, bez rekwizytów, przypominająca do złudzenia zabawy dzieci w świecie urojonych ludzi, zwierząt i przedmiotów? Naco to było potrzebne? Zacznijmy, okazując dobrą wolę, od najpoważniejszych uzasadnień. 1. Autor, mając odrazu w oczach całą komedię, chciał przyzwyczaić widzów od początku do istnienia świata ponadzmysłowego, pozaziemskiego, chciał ich wyobraźnię wyćwiczyć i przygotować do przyjęcia serio III aktu. Bo jeżeli przez dwie godziny publiczność musi wierzyć w konia, którego nie widzi, w kwiaty, których niema, w dialogi z ludźmi, których głosów nawet nie słychać, w sadzenie bobu, markowane gestami, na gołej podłodze scenicznej — to jakże nie ma uwierzyć w dusze ludzi zmarłych, jeżeli się je postawi na scenie w całej namacalności żywych... ciał...

Ale ta koncepcja się nie udała. Efekt jest z gruntu chybiony. Wyobraźnia widzów została wdrożona do zupełnie innego kierunku, niż to było potrzebne do dobrego przyjęcia aktu III: mianowicie do poszukiwania realności, rzeczywistości, rzeczy naturalnych i pospolitych. Po tym treningu przyszedł akt III. Ujrzeliśmy grupę osób, wpatrzonych przed siebie, siedzących w kilku rzędach krzeseł. Ale nikt z widzów nie domyślił się, że to cmentarz, że to są dusze zmarłych — w zaświatach. Piszący te słowa słyszał w tym momencie dokoła siebie szepty: „oni są chyba w kinie..." Nieporozumienie było istotnie fatalne. Dotąd pokazywano nam ludzi żywych, rozsądnych i pospolitych, zachowujących się nieco jak obłąkani; teraz zobaczyliśmy dusze w bycie pozagrobowym, wyglądające jak zwykli ludzie przy zdrowych zmysłach i rozmawiające o pogodzie. Nie wiele tu pomogło preludium konferansjera o nieśmiertelności.

2. Czy Wilder chciał, usuwając wszelkie rekwizyty, odwrócić uwagę od konkretnych drobiazgów, a zająć widza jedynie losem człowieka i ludzkiej społeczności? Mocno wątpimy. Nie byłby chyba aż tak naiwny, żeby nie wiedzieć, że właśnie to błaznowanie, które cały czas obserwujemy, wytwarza nastrój prymitywnej śmieszności i odwraca uwagę od spraw ważniejszych.

3. Dochodzimy zatem do wniosku, że trzeba odłożyć na bok wszelkie naciągnięte pogłębiania; Wilder dał poprostu popis amerykańskiego, dziecinnego humoru, przypominającego M. Twaina. Jeżeli do tego dodać protestancką filozofię życiową, opartą o jakiś anemiczny automatyzm, nie uznającą odpowiedzialności ani dążeń moralnych, to, ochłonąwszy z pierwszej sugestii, trzeba orzec stanowczo, iż „Nasze miasto", jakkolwiek zawiera wiele niejasnych, potężnych możliwości, jest osiągnięciem conajwyżej średniego artyzmu. Widowisko stoi staranną reżyserią Schillera i doskonałą grą Zelwerowicza. Brydziński, Zofia Małynicz, Michalska, Roland, Dominiak i Chodecki — dali z siebie b. dużo. Coraz lepiej rozwija się talent J. Kurylukówny.

T. D.

NOTATKA REDAKCJI

Poprzedni zeszyt „Myśli Narodowej" oznaczyliśmy omyłkowo n-rem 11-m, zamiast 10. Wobec tego zeszyt obecny oznaczamy n-rem 11 a.

POKŁOSIE

NIE NA CHWILĘ, ALE NA ZAWSZE

ZŁOŚLIWA inflacja haseł, którą mamy nieszczęście przeżywać obecnie, każe wszystkim rychło zapominać o tych hasłach, co to posiadały głęboką treść, wartość prawdziwego politycznego rozumu.

Przypominamy jedno z nich — ideę własnego domu. Własny dom symbolem miał być pełnego człowieka, instytucji rodziny, więcej nawet, bo ciągłości pokoleń. Przeciwstawił się standaryzowanemu mieszkańcowi wielkich kamienic. Bronił indywidualności przed wtopieniem się jej w pojęcie masy, stworzonej przez demokrację a ostatecznie wykształconej przez marksizm. Był odtrutką na anonimowość, doczesność, szarość. Żył wspomnieniem i marzeniem. Powstawał na miarę swego twórcy. Wiązał go bezpośrednio z ziemią, umacniał samopoczucie, dawał pewność trwałego oparcia.

Idea własnego domu stanowiła fragment wielkiego hasła, streszczającego się w dwóch słowach: Upowszechnienie własności. Hasło zdawałoby się, czysto gospodarcze — kto jednak tak myśli, myli się srodze. Niema haseł „czysto" gospodarczych, jak niema haseł „czysto" kulturalnych — wszystkie one przepojone są treścią polityczną. Jedynie dziedzina dogmatów religijnych wolna jest od polityki.

Przełóżmy polityczną ideę własnego domu na język województw wschodnich. Przerasta ona tu swym ciężarem gatunkowym tę samą ideę przełożoną na język życia i problemów województw środkowych. Jest szersza. Nie nosi pozorów jedynie kwestii socjalnej.

A czy wiemy, jak się przedstawiają województwa wschodnie, jeśli idzie o kwestię właśnie socjalne? Wyobrażamy to sobie powszechnie tak: na wileńszczyźnie jest we wsi chłop polski, litewski i białoruski, we dworze szlachcic Polak, w mieście żyd handlujący, pośredniczący, zarabiający rzemiosłem. Na Polesiu to samo, tyle tylko, że chłop, jeśli idzie o wyraz narodowy jest „nijaki". Na Wołyniu to samo, tyle tylko, że chłop jest ruski, na Podolu to samo, tyle tylko że chłop jest „ukraiński".

Tak było kiedyś. Wyraźnie: było kiedyś. Dzisiaj gdybyśmy chcieli sobie odtworzyć prawdę wyrazu socjalnego ziem wschodnich, nie moglibyśmy pominąć warstwy aktualnie najważniejszej, bo uprzywilejowanej pod każdym względem a przedewszystkiem uposażonej w moc władzy. Jest nią warstwa, która reprezentuje państwowość polską; a składa się na nią armia, administracja, sądownictwo.

Jakiemi węzłami związana jest ona z ziemiami kresowemi? Przedewszystkiem węzłem narodowego obowiązku, potem indywidualnego interesu. To dużo, bardzo dużo, ale... ale warstwa ta nie z kresów jest rodem, stanowi jej ludność napływową. Nieraz stanowisko w województwach wschodnich jest dla niej przystanią uciążliwą, „stażem" chwilowym, twardą szkołą, za co nagrodą ma być stanowisko w województwach środkowych albo zachodnich.

Owa płynność elementu urzędniczego jest zjawiskiem nad wyraz ujemnem. Płynności tej przecież „zawdzięczamy" w dużej mierze doktrynerskie poglądy stosowane do życia ziem wschodnich, a przynoszące w rezultacie niepowetowane straty polskości.

Związać element urzędniczy z kresami, dać mu wszystkie warunki, ażeby w nie wsiąkał, asymilował się do ich klimatu wnosząc jednocześnie nowe wartości — oto rys wielkiego historycznego procesu, nie mniejszego w swej skali, aniżeli pomysł osadnictwa wojskowego, nie zrealizowany, zresztą, w pełni, umorzony nawet.

Czym związać trwale „koczowniczy" element reprezentujący najrozmaitszego rodzaju funkcje państwa z województwami wschodniemi?

Odpowiedź jest jedna. Jedna i prosta, nadzwyczaj prosta w swej koocepcji: idea własnego domu.

Wieść idzie, że w Lidzie i Baranowiczach stawiane mają być wielkie bloki mieszkalne dla urzędników i funkcjonariuszów państwowych. Za kilka milionów złotych wybuduje się tam chwilowe przystanie dla polskości, ktora zatrzyma się w dwóch pokoikach na lat parę, czy po otrzymaniu emerytury (lub nawet i przedtem jeszcze), powrócić w „rodzinne pielesze" do siebie z powrotem — w lubelskie, krakowskie, poznańskie... Za kilka milionów złotych buduje się wielkie hotele, do których polskość wejdzie jedną bramą a wyjdzie drugą. W wielkim domu — koszarach dla garnizonów urzędniczych będzie polsko, arcypolsko, ale naokoło w parterowych domach miasteczka będzie żydowsko, arcyżydowsko i bolszewicko, arcybolszewicko. Dom będzie wprawdzie ogromny, ale jeden, parterowych domków natomiast będzie mnóstwo, całe mnóstwo, przy każdej uliczce długie szeregi.

Ułatwić każdemu urzędnikowi budowę własnego domu, dawać awanse nie tylko za wydajne skrobanie piórem, ale i za wysiłek związania się z ziemią, gdzie przyszedł, gdzie rozradza się w nowe pokolenia i gdzie winien złożyć swoje kości.

J. Ba.

NA MARGINESIE

Niemcy są wogóle złymi psychologami.., Wiedzą, że Polacy są narodem biernym, który umie przez długi czas pozwalać sobie ciosać kołki na głowie; ale nie wiedzą, że do żywego, lub poważnie zagrożony, naród ten umie się zdobyć na wybuchy niemałej energii.

*

Nie wiedzą też, że gdyby się znalazł w Polsce polityk, któryby chciał traktować o ustąpienie Pomorza, dostałby kulę w łeb, jak amen w pacierzu.

*

Podobnie skończyłby każdy, któryby idąc wbrew woli narodu, na jakiejkolwiek drodze wystawił Polskę na zmarnowanie tego, co po wojnie światowej odzyskała.

Z książki Romana Dmowskiego: „Świat powojenny i Polska".

Redakcja „Myśli Narodowej" zawiadamia poszukujących książkę Z. Wasilewskiego p. t. „*Norwid*", że resztą nakładu tej książki rozporządza (z tytułu udzielonej zapomogi) Kasa im. Mianowskiego (Warszawa, Pałac Staszica). Tam należy się zwracać z zamówieniami. Egzemplarze, które były na składzie w wydawnictwie „Myśli Narodowej", są już wyczerpane.

Od Administracji. Książka prof. Romana Rybarskiego p. t. „Idee przewodnie gospodarstwa Polski" (z której wstęp podajemy na początku numeru) jest do nabycia w Administracji „Myśli Narodowej" po niższej cenie dla jej prenumeratorów: dla miejscowych po 5 zł 50 gr, dla zamiejscowych, łącznie z kosztem przesyłki pocztowoj po 6 zł.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.
Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.